

W numerze: WITOLD SŁOTWIŃSKI *Uczelnie i młodzież* ● TERESA WOJCIECHOWSKA *Opera buffa po polsku* ● JAN HUSZCZA *Butelka czystej, śledź, woda sodowa* ● WITALIJ SIERDIUK *Światło ostrzegawcze* ● *Zewsząd o wszystkim* ● *Recenzje* ● *Nowela kryminalna*

odgłosy



8 (744)
20. II. 1972 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XV



Fot. A. Wach

Przed wyborami do Sejmu

19 marca bieżącego roku odbędą się wybory do Sejmu PRL.

Do urn wyborczych pójdziemy w okresie intensywnej odnowy życia politycznego, społecznego i ekonomicznego w kraju. Wybory do obecnej, VI z kolei kadencji Sejmu, wyłonią ludzi o szerokich horyzontach politycznych, ludzi cieszących się autorytetem i zaufaniem społeczeństwa, którzy będą zdolni do realizacji programu dalszego rozwoju socjalistycznej Polski.

Ogólnonarodowa dyskusja przed VI Zjazdem Partii, i przyjęte na Zjeździe uchwały, stanowią gwarancję pełnego wykonania programu, przyjętego przez Front Jedności Narodu. Program ten wyraża dążenia i aspiracje ludzi pracy, jego zadania i cele są jasne: wzmocnić dalszy rozwój potencjału gospodarczego, społecznego i kulturalnego, podnieść ogólny poziom życia społeczeństwa, ukazać przyszłym pokoleniom szanse i szerokie perspektywy rozwoju Polski. Pełnego poparcia postanowieniom naszej partii i rządu udzieliło całe społeczeństwo.

Decyzja o wcześniejszych wyborach do Sejmu zyskała uznanie i poparcie sojusznicznych stronnictw politycznych i organizacji społecznych, działających wspólnie na platformie politycznej FJN.

Przygotowania do wyborów do Sejmu PRL w Łodzi i na Ziemi Łódzkiej są już w pełnym toku.

Sprawy te będziemy podejmować w kolejnych numerach naszego piśma.

JERZY URBANKIEWICZ

Dlaczego Łódź musi być brzydka?

Nie należy sądzić, że Łódź zawsze była brzydka. Negatywne oceny jej urody znalazły drogę na stronicach książek dopiero na przełomie stuleci, zwłaszcza zaś w pierwszych latach XX wieku. I pomyśleć — kiedy luminarze polskiej literatury zapełniali swoimi bohaterami ulice i domy Warszawy i Krakowa, o Łodzi zajął się tylko jeden z wielkich — Reymont, a i ten rozwinął nielatte problemy tego miasta na możliwie najbrzydszym tle i w brzydką pogodę. Z innych — autor „Złego miasta”, Zygmunt Bartkiewicz, w czambuł potępiał (nie bez słuszności) tutejsze sto-

sunki społeczne, potępiał więc całe „złe miasto” ze wszystkim, co w nim było, wreszcie autorzy tacy, jak S. Gorski, I. Timkowskiej-Kostin, A. Starkman podejmowali temat Łodzi również po to, by ją zganić, trudno by więc było na stronicach ich książek doszukiwać się zachwytów nad krajobrazem.

Pamiętając jednak o tym, w jakim to okresie publiczności odczuli potrzebę krytycznego pisania o sobie współczesnej Łodzi, przyjrzyjmy się niektórym jej częściom, biorąc poprawkę na zmiany, jakie w międzyczasie zaszły. Popatrzmy na ulicę Mo-

nuszkii. Ładna? — Ładna. Prawdopodobnie była jeszcze ładniejsza, kiedy ją przed półwiekiem zdobyły ogrody pana Meyera. Popatrzmy na przylegające do Piotrkowskiej fragmenty ulic: Próchnika, Rewolucji 1905 roku, Więckowskiego, Jaracza, Zielonej, Traugutta, 22 Lipca, Tuwima i A. Struga. Wyglądnijmy w wyobraźni nadwątlone tynki, wyrwy, które zropił czas, wstawmy domy o fasadach podobnych do sąsiednich. Są to ładne fragmenty miasta, które kiedyś rosło na miasto ładne. Eklektyzm sięcesja! Przecież epoka eklektyzmu stworzyła znaczną część Paryża i Wiednia. Tyle, że tam się to dokonało, a u nas nie. U nas wyrosły eklektyczne fragmenty, tu i ówdzie wśliznęła się pomiędzy nie uroczna secesja i nagle rozwój miasta zamarł. Zostały nagie, szczytowe ściany, które premier Składkowski kazał później otynkować, a pomiędzy ładne domy niezabudowanych całkowicie ulic, poczęto w okresie zastoju w budowywać byle jakie chałupki, byle jakie czynszówki. Idąc śladem tej myśli, chciałbym moim Czytelnikom zasugerować, by przy okazji rzucili okiem na domy nr 4 i 6 przy ul. Sienkiewi-

cza (vis-a-vis wieżowca). Oba domy, pomimo 70 lat trwania, mają ładne i bogate attyki, rzadko w Łodzi o takie, ale narzuca się myśl, że zapoczątkowały one ten fragment ulicy (wówczas) Dzikiej, czy może Mikołajewskiej, że pod nr 2 miał stanąć narożny, a więc jeszcze piękniejszy i miały stanąć dalsze, aż do Traugutta. Ale już nie stanęły. Dlaczego? Czy odpowiedzi na to pytanie nie sugeruje fakt, że dom pod nr 6 zbudowano w stylu secesji. Secesja dotarła do Łodzi około roku 1903. A w roku 1905 zaczął się zastój, pogłębiony późniejszym lokautem, a następnie wojną. Inaczej mówiąc, urbanistyczny rozwój Łodzi można by wyrazić krzywą wznoszącą się do koniunktury. Zapewne lata 1863—1864, 1891, wpływały hamująco na budownictwo mieszkalne, zwłaszcza to ładne, luksusowe, a w roku 1905 zaczął się zastój, który przetrwał do lat niemal trzydziestych. Oczywiście całe to rozumowanie ubieram w formę pytań, zostawiając ostatnie słowo historykom sztuki. Ale tezę, że dziesiątkami lat Łódź rozwijała się jako miasto ładne, zdają się potwierdzać jeszcze inne fakty. Z okazji niedawnej Sesji Nauko-

wej historyków sztuki w Łodzi, otwarto w salonach plastyków wystawę fotograficzną, ilustrującą zabytki tego miasta. Pokazano kilkadziesiąt uroczych fragmentów. Niestety — powtarzam — zanim wszystkie te fragmenty połączyły się w równie uroczą całość, przyszły lata zle i przetkały bogatą ośnowę tandetnym wankiem.

I oto my, pokolenia rządzące się tą spuścizną dziś, możemy dokonać przeróżnych cudów. Możemy misternie wyłuskać brzydkie spomiędzy ładnego i dokończyć zaczętego kiedyś zubożonego dzieła. Możemy zaniedbać to, co ładne, zostawić je spokojnemu działaniu wody, temperatury i bosaków strażackich. Możemy wyczyścić teren do czysta i wznieść miasto nowe i to takie, że twory wyobraźni Le Corbusiera w proch się rozsypią ze wstydu. Z mojej skromnej pozycji dziennikarza, który nie potrafi obojętnie przechodzić obok tego co się dzieje z jego miastem, widzę takie właśnie trzy drogi współczesnego nam rozwoju Łodzi.

Dalszy ciąg na str. 4



Włochy przeżywają swój kolejny kryzys. Już 32 w okresie powojennym. Obecny jest jednak poważniejszy niż jakikolwiek dotąd. Nastroje we włoskim obozie rządzącym są bliskie paniki. Rysuje się wyraźna możliwość politycznego zwrotu — w prawo lub lewo. Chadecja lęka się przede wszystkim tego drugiego. Koalicja centrolewicowa, która rządziła krajem przez blisko 10 lat, praktycznie przestała istnieć. Kolejny kandydat na premiera po serii rozmów z przywódcami partii politycznych zrezygnował z misji utworzenia nowego rządu. Po prostu nie ma możliwości skonstruowania programu. Oczekuje się decyzji o rozwiązaniu obu izb parlamentu. Tak więc Włochy zmierzają szybko ku nowym wyborom powszechnym — rozpisany o rok wcześniej. Ich wynik — przynajmniej dla obozu rządzącego — jest wielką niewiadomą. Dodajmy — dla partii chadeckiej w pierwszej kolejności.

Co leży u podstaw tak głębokiego kryzysu? System polityczny Włoch długo wykazywał odporność na konflikty społeczne. Kolejne kryzysy wybuchły głównie z powodu nieudolności administracji. Gospodarka jednak funkcjonowała w miarę sprawnie. Teraz dała o sobie znać recesja gospodarcza. Miernikiem jej jest spadek produkcji przemysłowej o 2,7 proc., co natychmiast zwiększyło liczbę bezrobotnych do prawie 1,2 mln osób. Obrazu sytuacji na rynku pracy dopełnia fakt istnienia wielkiej armii niepełnozatrudnionych. Tak więc, jak słusznie zauważył jeden z polskich korespondentów w Rzymie, nie gry grup parlamentarnych, lecz istotne problemy gospodarcze stały się przyczyną politycznej polaryzacji w kraju i rozpadu koalicji centrolewicowej.

Włoska Partia Komunistyczna, najsilniejsza w świecie zachodnim, mająca w parlamencie trzecią część głosów, od dawna ostrzegała, przed niebezpieczeństwami, jakie rodzą się ze sztucznego podtrzymywania przy życiu rządzącej koalicji. Ale obawa przed śmielszymi rozwiązaniami zagadnień społecznych, których mógłby dokonać tylko rząd Frontu Ludowego, nakazywała obozowi partii koalicji trwać za wszelką cenę. Teraz kraj stoi w obliczu poważnych wstrząsów politycznych.

Jeśli nastąpi przedterminowe rozpoznanie wyborów, a to jest chyba nieuniknione, partia chadecka zapowiada walkę na dwa fronty: przeciwko lewicy i skrajnej prawicy. Ale wiadomo, że głównego przeciwnika upatruje w lewicy — w komunistach i socjalistach, z którymi chce walczyć frontalnie. Neofaszyści są dla niej mniej niebezpieczni, mogą się nawet stać jej klientelą wyborczą.

Włochy są więc na zakręcie. I dlatego warto uważnie śledzić dalszy bieg wydarzeń.

★ ★ ★

Pekińska podróż prezydenta Nixona raz jeszcze stała się tematem jego wypowiedzi. Tym razem na niezapowiedzianej wcześniejszej konferencji prasowej. Nixon zakomunikował, że odleci z Waszyngtonu 17 bm., a do stolicy ChRL przybędzie w poniedziałek — 21 lutego. Towarzyszyć mu będzie małżonka, którą ponoc pasjonuje architektura Chin.

Prezydent dał do zrozumienia, że rozmowy z przywódcami ChRL — Mao i Czou En-lajem wypełnią większość czasu. „Obie strony — stwierdził — zgodziły się z tym, że w czasie tej wizyty pierwszeństwo muszą mieć rozmowy, zaś zwiedzanie i sprawy protokolarne znajdują się na drugim planie. Ugodniliśmy, że nie przewidujemy z góry zbyt wiele czasu na podróże, jeśli miałyby to przeszkodzić w prowadzeniu szeroko zakrojonych rozmów...”

Na wizytę — jego zdaniem — nie należy patrzeć ani ze zbytnim optymizmem, ani ze zbytnim pesymizmem. Przez tydzień nie uda się przecież przezwyciężyć 20-letniej wrogości. Ale spotkania te oznaczają będą z pewnością punkt przelomowy w stosunkach między obu rządami. Rozmowy będą dialogiem, a nie rokowaniami i tym różnić się będą od moskiewskich w maju br. Oczekujemy — powiedział — że podróż do Chin przyniesie zwiększenie kontaktów z tym krajem i niedopuszczenie do zbrojnego konfliktu. Ujawnił także, że w zanadrzu ma odpowiedź na pytanie, jeśli ono padnie, czy USA byłyby gotowe udzielić pomocy Chinom w rozbudowie ich potencjału gospodarczego.

Warto zwrócić uwagę na głosy prasy amerykańskiej na temat tej konferencji oraz wcześniejszego oświadczenia Nixona, w którym także znalazł się fragment, poświęcony Chinom. Otóż czołowe dzienniki rozważają możliwość nawiązania przez USA stosunków dyplomatycznych z ChRL. Dochodzą one do wniosku, że obecnie, z uwagi na Taiwan, nie jest to jeszcze możliwe i że w rachubę wchodzić będzie raczej quasi przedstawicielstwo.

Podobnie, jak w przypadku pierwszego tematu naszego przeglądu wydarzeń, również i chińską podróż Nixona będziemy śledzić z uwagą.

★ ★ ★

Na ile rozpoczęty proces ratyfikacyjny układów Polski i ZSRR z NRF dużego znaczenia nabiera wizyta Herberta Wehnera w Polsce. Komentuje się ją jako ułatwiającą ratyfikację oraz jako zapowiedź częstszych i regularnych kontaktów między Bonn a Warszawą. Korespondenci NRF-owscy podkreślają, że Wehner był pierwszym politykiem bońskim, który spośród osób najbliższych otoczenia Brandta, prowadził tego rodzaju rozmowy w Warszawie.

Kronikę tygodnia zamknijmy odnotowaniem rozmów Pompidou-Brandt, których głównym motywem było przyspieszenie działań dla realizacji unii monetarnej i gospodarczej.

W. SLAWSKI

● Zawsze o wszystkim ●

● Zawsze o wszystkim ●

Wielkie problemy małego księstwa

„FRANKFURTER RUNDSCHAU” FRANKFURT n/MENEM

Dziwnie to brzmi, jak się usłyszy od towarzysza podróży, że terytorium jego kraju wynosi 2 i pół tysiąca kilometrów kwadratowych, a liczba ludności — 338.000...

Wielkie Księstwo Luksemburg jest najmniejszym krajem europejskim, który do dnia dzisiejszego nie może zaleczyć ran, zadanych mu przez historię. Rany te były na tyle bolesne, że Luksemburczycy byli zmuszeni zmienić nawet język państwowy, co przecież w historii nie zdarza się zbyt często (w kraju istnieją dwa języki państwowe — niemiecki i francuski). Jeśli dziś Luksemburczyk zwraca się do władz, czy wygłasza przemówienie, używa języka francuskiego. Ale jeszcze w latach trzydziestych posługiwał się w takich wypadkach językiem niemieckim.

Dziś zmieniło się wszystko. Język niemiecki, którego uczy się jeszcze w szkołach i gimnazjach, ustępuje francuskiemu. Źródłem tego zjawiska, które zapoczątkowało ten językowy — i nie tylko językowy — przełom, były dwie wojny światowe, w czasie których najpierw kajzerowskie, a następnie hitlerowskie Niemcy naruszyły niepodległość Luksemburga, okupując kraj.

Na obyczajach i sposobie bycia narodu nie mógł także i podczas swej 1000-letniej historii kraj przeżyć wiele dotkliwych klęsk wojennych. Klęski Luksemburga, który należał, na przemian, to do Francji, to do Niemiec, to znów do Austrii, stały się jakąś dramatyczną powiastką. Długotrwałe obce rządy wycisnęły swoje piętno na rozwoju kulturalnym i ekonomicznym tego państwa.

Ale, o ile sami Luksemburczycy czują się pokrzywdzeni przez historię, o tyle cudzoziemcy, wprost przeciwnie, uważają Luksemburg nieomal za ziemię obiecaną. Dzielą się przy tym na dwie kategorie: na tych, którzy lokują kapitały w przedsiębiorstwach luksemburskich i tych, którzy przyjeżdżają tutaj w poszukiwaniu pracy. W początku 1970 roku przebywało w tym małym kraju 59.000 cudzoziemców, czyli ponad 17 proc. ogółu ludności. Aż 21 procent pracujących stanowią cudzoziemcy.

Stolica, o tej samej nazwie, liczy około 80.000 mieszkańców. Jest to miasto niezliczonych mostów, malowniczych ruin starożytnych

zamek obronnych. Sąsiedni okręg — Esch — zamieszkuje połowa ludności całego księstwa. Tam, na południu, jest skoncentrowany niemal cały ekonomiczny potencjał tego najmniejszego kraju Wspólnego Rynku.

Ze stosunkowo ubogiej rudy żelaza, jak również importowanych, bardziej bogatych, rud z Francji, Szwecji i Holandii, wytopia się w Luksemburgu około 5 i pół miliona ton stali rocznie. Dużą jej część w postaci wyrobów walcowanych wywozi się za granicę. Wśród odbiorców specjalnych gatunków stali luksemburskiej jest także amerykańska Krajowa Agencja Aeronautyki i Badania Przestrzeni Kosmicznej — NASA. Luksemburg zajmuje szóste miejsce w Europie w produkcji surowców, ósme w produkcji stali i siódme w walcowanych metalach żelaznych. Jednakże duże znaczenie tych gałęzi przemysłu w ekonomii kraju jest źródłem wciąż rosnących kłopotów rządu. Rzecz w tym, że ich nadmierna rola w ekonomii coraz bardziej uzależnia Luksemburg od kapryśnych międzynarodowego rynku stali. Dlatego też myśli się teraz o stworzeniu szerszej bazy ekonomicznej.

W politycznym życiu, Luksemburg ma jeszcze bardziej skomplikowane problemy, niż w ekonomicznym. Większa część ludności jest wyznania katolickiego. Dlatego to krajem rządzi, już tradycyjnie, Partia Chrześcijańsko-Społeczna (PCS) — odpowiednik zachodniemieckiej CDU-CSU. (PCS reprezentuje interesy wielkiego przemysłu, obszarników i zamężnego chłopstwa — red.). Ostatnio, umocniła się pozycja komunistów. Mimo silnej, antykomunistycznej kampanii prasowej, Komunistyczna Partia Luksemburga osłabła w czasie ostatnich wyborów do parlamentu poważny sukces, zwiększając liczbę mandatów poselskich w drugim, co do wielkości, mieście kraju — Esch sur Alzette. Odtąd merem tego miasta jest komunist.

W czerwcu 1967 roku wprowadzono w Luksemburg system ochotniczej, najemnej służby wojskowej. Armia luksemburska liczy 500 żołnierzy — jeden batalion i cztery kompanie. Jej zadaniem jest „obrona kraju w ramach NATO”... Nie można jednak powiedzieć, żeby armia cieszyła się sympatią społeczeństwa.

działalności Hoovera: po pierwsze — na jego nie słabnącą zdolność osiągnięcia w Waszyngtonie zamierzonych celów i po drugie — na jego dążenie do rozszerzenia ram operacyjnych FBI w sferze szpiegostwa oraz niechęć wobec CIA.

Agentów FBI za granicą nazywa się oficjalnie „przedstawicielami do spraw prawnych”. Są oni zatrudnieni w ambasadach amerykańskich w Ottawie i Mexico, pomagając w poszukiwaniu ludzi, którzy uciekli z USA. To samo można powiedzieć o agentach w Londynie, Tokio i, być może, jeszcze w jednej lub dwóch innych stolicach.

Ala Hoover idzie dalej. Hermetycznie odgródzony od społeczeństwa i praktycznie nie podporządkowany Kongresowi, stworzył po cichu w około 20 krajach sieć agentów FBI. W ubiegłym roku Hoover zaproponował rozszerzenie działalności FBI na dalszych dwanaście stolic. Wykazał on wówczas swą legendarną zręczność poruszania się w biurokratycznej dżungli, zwracając się o aprobatę wprost do najwyższych instancji. Oto w czasie nieoficjalnego spotkania w Białym Domu z prezydentem USA, Hoover powiedział mimochodem, iż chciałby otworzyć jeszcze kilka kancelarii „przedstawicieli do spraw prawnych”. Nixon, podobnie jak większość prezydentów w ciągu ostatnich 47 lat, nie chciał przeszkadzać Hooverowi i wyraził zgodę. Później, po ostrych kontrowersjach, udało się departamentowi stanu zmniejszyć liczbę tych kancelarii o połowę. Koniec końców FBI zapropo-

nowało otwarcie nowych kancelarii w sześciu miastach: Manilla, Rio de Janeiro, Singapurze, w Delhi, w Canberra i Santo Domingo. Chociaż miejsca otwarcia kancelarii „przedstawicieli do spraw prawnych” są trzymane w głębokiej tajemnicy, wiadomo niemal na pewno, iż agenci FBI zostaną wysłani do wymienionych miast z wyjątkiem, być może, Delhi.

Innymi słowy sekretarz stanu, W. Rogers, który w końcu lat 50-tych był ministrem sprawiedliwości i pozostawił Hooverowi pełną swobodę działania, postanowił obecnie nie podnosić szumu z powodu działalności agentów FBI w innych krajach. Jedną z przyczyn jest zapewnienie departamentowi stanu i CIA, że agenci FBI za granicą będą całkowicie podporządkowani amerykańskim ambasadorom i nie będą tam zbierać informacji o charakterze wywiadowczym.

Wstrząsy na szczycie

„L'EXPRESS” — PARYŻ

Nie tak dawno odbył się w Rzymie trzeci synod episkopalny. Głównym przedmiotem obrad było rozwiązanie jednego podstawowego problemu. Był zbyt poważny, by można go było postawić otwarcie: jak mówić o Bogu ludziom współczesnym?

Oczekiwania na „wielką odnowę” spełzły na niczym: synod zamknięto w atmosferze nie spełnionych nadziei. Wielu jego uczestników nie kryło swego rozczarowania. „Czyżbyśmy przyjechali tutaj odtańczyć tarantelę?” — pytali niektórzy. Inni, zjadliwie powtarzali hasło, pod którym otwarto obrady synodu — „Odejdźmy w pokój”.

Papież, który przewodniczył obradom, ale nie wtrącał się do dyskusji, nawoływał biskupów: „Nie dajcie się zwieść wielu ideom, lecz wyrażajcie uczucia tych, którzy przysłali was do Rzymu”. A potem, jak opowiada, nastąpił „gwałtowny zwrot”. Dysonans! Wydawało się, że papież zwołał „zgromadzenie ogólne”, a ono płonęło niecierpliwością przekształcenia się w zgromadzenie ustawodawcze. Do tej ewolucji jednak nie doszło. Papież znów przejął całą władzę w swoje ręce.

Ten manewr zaskoczył synod rzymski zniechęca. Kardynałowie i biskupi sądzili, że ich pracą znajdzie wyraz w publikowanych dokumentach, które będą miały, jeżeli już nie moc obowiązującą, to przynajmniej charakter propozycji. Gdy stało się jasne, że ich postulaty nie mają żadnych szans na uj-

wienie światła dziennego, odrzucili początkową mało-mówność i występowali jeden po drugim, składając radykalne oświadczenia. Teraz już debaty episkopalne przypominały zjazd partii politycznej w początkowej fazie kończących się obrad...

„Wyniki synodu — przynajmniej arcybiskup Quebecu, Morris Rya — rozczarują wielu księży i wiernych”. Nie wszyscy jednak patrzają jednakowo na skomplikowane problemy, które stają przed Kościołem. O ile niektórzy śmiało odrzucają obyczaje i tradycje, o tyle inni, przeciwnie, trzymają się ich kurczowo. Tym właśnie należy tłumaczyć, że ruchowi na korzyść zmian przeciwstawiają się siły umiarkowanych, których poglądy tylko bardzo niewiele odbiegają od poglądów skrajnych reakcjonistów. Umiarkowani walczą o to, aby w sprzyjającym momencie móc wystąpić na rzecz określonego porządku społecznego, nie mówiąc już o utrzymaniu tradycyjnej linii katolicyzmu. Wśród tych grup oscyluje papież.

74-letni Paweł VI obawia się wystawiać Kościół — którym kieruje — na ryzyko zmian. Ale jednocześnie nie chce się narazić na zarzut marazmu. Właśnie ta bojaźń wyjaśnia momenty jego postępowania, które wywołują zamieszanie.

Najtrafniej określił postępowanie papieża biskup z Grenoble: „Gdy prowadzi się samochód we mgłę, nogę należy trzymać bliżej hamulca, niż akceleratora”.

FBI „w domu” i za granicą

„WASHINGTON POST” — WASZYNGTON

Edgar Hoover potrafił uzyskać zgodę prezydenta USA na rozszerzenie międzynarodowych operacji FBI w zakresie zbierania informacji szpiegowskich. W ten sposób Federalne Biuro Śledcze, bez specjalnej ustawy, bez wiedzy społeczeństwa i większości członków Kongresu będzie rozwijać swoją działalność w ponad 25 stolicach obcych krajów. Niezależnie od tego, agenci FBI, wysłani za granicę rzekomo w celu wylapywania ludzi, ukradających się do sądów amerykańskich, przekazują swemu dyrektorowi tajne informacje wywiadowcze. Historia ta rzuca światło na dwie interesujące strony

W następnym numerze „ODGŁOSÓW”:

- M. WAWRZKIEWICZ — Zabawa w kwadraturę koła
 - M. OCHOCKI — Golfy z Afryki
 - T. WOJCIECHOWSKA — Kariera śpiewaczki
- oraz recenzje, felietony, nowela kryminalna

● Zawsze o wszystkim ●

● Zawsze o wszystkim ●

Brama do Spółdzielni Inwalidów „Tęcza” w Łęczycy dzielnie jest strzeżona przez damski personel. Dopiero po telefonicznym porozumieniu się strażniczki z prezesem otrzymuję przepustkę i wolny wjazd na teren. Wprawdzie nie produkuje się tu części do czołgów ani samolotów, lecz szyje tylko zwykłe kufajki, niemniej podoba mi się taka czujność i porządek. Haśło na dziedzińcu głosi: „Już w czasie pokoju bądź gotów”. Będę.

Człowiek, dzięki któremu się tutaj zjawilem, uprzedził mnie, że to tylko pozory i

śledztwo, a ja wiem i mam na piśmie oświadczenia ludzi, którzy dawali łapówki pracownikom Spółdzielni, takim, jak ob. P. i pani B. oraz lekarce T.

Ciężkie to oskarżenie, więc postanowiłem zajrzeć do akt prokuratorskich. Przejrzałem „postanowienie o umorzeniu śledztwa”, data — 20 czerwca 1970 rok: „Wyżej przedstawiona ocena materiału dowodowego w tej sprawie zebranego wskazuje, iż postępowanie należy umorzyć z przyczyny wymienionej w konkluzji. Zachodzą wątpliwości co do zaistnienia samiego przestępstwa”.

są tak bardzo skomplikowane. Jak byśmy się ich ściśle trzymali, to niewiele byśmy zdziałali. Uczyniono nam zarzut, że kupowaliśmy igły od prywatnego dostawcy, że kartony, że samochód był naprawiany w prywatnym zakładzie. Gdybyśmy tych igieł nie kupili, to może by nas jeszcze gorszy zarzut spotkał, gdyż mogłoby się tak zdarzyć, że zakład by stanął. Różni lustratorzy i kontrolerzy to zawsze sprawdzają czy działanie zgadza się z przepisami. Ale jak działanie zgadza się z przepisami, to nie zawsze zgadza się z życiem. Olczak to

czenie znalazłem wśród materiałów naszego detektywa-amatora.

„Oświadczam, że w dniu 27.8.69 r. zostałam przyjęta do pracy w S.P. „Tęcza” — Łęczycy. W czasie ubiegania się o pracę zostałam skierowana przez prezesa do P. P. oświadczył mi, że sprawę można załatwić w obecności ojca i będzie kosztować 500 zł. Na załatwienie pracy dla mnie ojciec pożyczyl pieniądze i następnego dnia w obecności mojej ojciec wręczył P. żądana sumę.”

Ojciec Ireny K. potwierdził, że to prawda, co córka napisała.

Nie wiem, czy ludzie zrobili się obecnie tacy odważni, czy tacy nieodpowiedzialni.

Kazimiera M. „B. zażądała ode mnie 1000 zł, to mnie przyjmie do pracy. Pieniądzy nie dałam, więc nie pracuję.”

Józef K. „Zwróciłem się do P. żeby dał kuzynce pracę. P. powiedział, że da radę, ale będzie to kosztować pięćset zł. Ja mu powiedziałem, że pięćset złotych nie dam. Poszedłem do lekarki, pani T. i skłamałem, mówiąc, że mnie przysłał P. Powiedziała, że to będzie kosztować czterysta złotych. Wyjęła kartę i zaczęła pisać. W karcie pisała, że kuzynka leczy się na gruźlicę już trzy lata. Kuzynka, Teresa P., poszła do opieki i została przyjęta jako inwalidka.”

W tym momencie nie zdzierzyłem i zwróciłem memu interlokutorowi uwagę, że w ten sposób nie wolno szkalować niewinnych ludzi. Czyż nie zdaje sobie sprawy, że ja to mogę opisać i że w świetle nowego kodeksu karny jest nie tylko ten, co bierze, lecz również ten, co daje łapówki. Na marginesie — dzięki temu nie ma ostatnio w ogóle procesów o łapówki.

Józef K. wcale się moim krzykiem nie przejął. Poinformował mnie, iż to samo powiedział już dwa lata temu prokuratorowi. I rzeczywiście, w umorzeniu postępowania prokuratorskiego „sto!”, „Nadto kontrola wykazała, że Teresa P., która w/g zeznań Józefa K. „otrzymała inwalidztwo” od lekarza Kazimierza T., za 400 zł, jest zatrudniona jako osoba zdrowa. Ustalenie to obala zeznanie świadka, Józefa K. i Teresy P., że wręczyli Kazimierzowi T. 400 złotych za „wyrobienie inwalidztwa”.

I dalej czytamy:

„Brak jest motywu, dla którego Józef K. wręczyłby lekarzowi, Kazimierzowi T. rzyście materiałną. Lekarz „en bowiem nie wystawiał Teresie P. żadnego orzeczenia, które by miało wpływ na przyjęcie jej do pracy...”

Ryzyko lekarza jest tu niewspółmierne do korzyści i trudno sobie wyobrazić, żeby dorosły człowiek na coś podobnego poszedł. Przykład ten dowodzi, że jak nieodpowiedzialnymi ludźmi mamy do czynienia. Z jak niebezpiecznymi ludźmi.

Tak sobie myślałem.

Udałem się jednak dla spokoju sumienia do powiatowego Wydziału Zdrowia i Opieki Społecznej, gdzie odnotowane są wszystkie skierowania inwalidów i osób podlegających rehabilitacji — do pracy.

Choć uważam, że jest źle, jeśli dziennikarz wyręcza prokuratora, zresztą był już taki okres w historii, kiedy to reportaże dziennikarskie brzmiały jak akty oskarżenia, a akty oskarżenia — jak reportaże. I nie był to okres chwalebny.

Cóż, w Wydziale Zdrowia i Opieki Społecznej Teresa P. figuruje jako chora na gruźlicę z I grupą rehabilitacyjną. Zgłosiła się tam 12 marca, a 24 marca 1969 roku skierowana została do pracy w Spółdzielni. Mam nadzieję, że zaszło tu jakieś grubsze nieporozumienie i redakcja nasza otrzymała na ten temat odpowiedź, która rzecz całą do końca wyjaśni. Wszystkie wątpliwości, bowiem działają na niekorzyść dobrego imienia lekarki.

KAROL BADZIAK

O tym jak pewien detektyw - amator chciał wykryć aferę w Spółdzielni Inwalidów „Tęcza”

fasada. Nie to, że Spółdzielnia ma najlepszą żeńską drużynę ORMO w kraju i buduje w czynnie społecznym strzelnicę. Tak naprawdę, to mieści się tu podziemie gospodarcze i łapownictwo kwitnie na szeroka skalę. Tak twierdził ten człowiek, który odnalazł mnie w redakcji i naopowiadał tyle ponurych rzeczy, że zrobiło mi się aż melancholijnie na duszy. Prywatnie powiem, że tacy ludzie, którzy widzą wszędzie tylko złodziejstwo, szachrajstwa i machlojki, nie budzą sympatii. Podejrzewani są często, iż kierują się nie tyle interesem społecznym, co zawiścią. Może świat nie składa się faktycznie z samych aniołów, ale także nie z samych kanciarzy. Totalna nieufność i podejrzliwość nie sprzyja twórczej pracy.

W końcu jednak pomyślałem sobie, co mnie obchodzi moralność mego informatora, najważniejsza jest rzetelność jego informacji. Sprawdzone zostało zaś, że wszyscy skarżący się mają z reguły słuszne do tego powody, pomijając oczywiście osobników maniackalnych. Władze wojewódzkie i powiatowe tylko co piątą skargę (dokładnie 19 proc.) uwzględniają, albo dostatecznie załatwiają. Informacje mego klienta zdawały się być wiarygodne, poparte nadto grubą tęczką wszelkich dokumentów. Chłop zresztą nie ukrywał i nie tał swoich intencji i personaliów.

— Nazywam się Henryk Olczak — przedstawił się na wstępie. — Pracuję w SOK-u na dworcu Kalskim i mieszkam w Łęczycy. Zona moja po ciężkiej chorobie starała się o pracę w Spółdzielni „Tęcza”, ale nie chcieli jej przyjąć, bo tam tylko za łapówki dostaje się pracę. Napisałem nawet o tym do „Fal 56”, a stamtąd sprawa trafiła do prokuratury. Prokuratura jednak umorzyła

Argumenty prokuratora nie przekonały widocznie naszego detektywa, ponieważ w dalszym ciągu głosi, że w „Tęczy” brano łapówki. Ob. P. wytoczył mu w końcu sprawę o pomówienie i sprawę wygrał. Dwie inne pracownice Spółdzielni wytoczyły mu proces o obrażę. Henryk Olczak twierdzi, że to prowokacja, zemsta, nie daje za wygraną, pisze do najwyższych władz — bowiem władz powiatowych i wojewódzkich nie uznaje. Na wojewódzkim szczeblu tylko naszą redakcję obdarzył zaufaniem. Rozrabia, albowiem leży w jego interesie teraz udowodnić, że łapówki w „Tęczy” biorą. Zmobilizował wokół siebie wszystkich niezadowolonych i usuniętych z pracy w tej Spółdzielni. Jest tego spora gromadka. Na pierwszy ogień idzie Wacława K. zwolniona w marcu ub. roku. Władze nadrzędne Spółdzielni wielokrotnie upominały Zarząd, że kobieta została zwolniona niesłusznie i należy ją ponownie przyjąć do pracy. W końcu jednak znudziło im się i Zarząd Główny Związku Zaw. Prac. Spółdz. Pracy wystąpił przeciwko „Tęczy” do sądu. Sprawa jest w toku.

— Imponuje mi pański upór, panie prezesie — powiadam do prezesa — ale go nie rozumiem.

— No, cóż, Wacława K. jako osoba zdrowa, zwolniona została w pierwszej kolejności ze względu na tzw. „konieczność gospodarczą”. Proponowaliśmy jej siedmiokrotnie podjęcie pracy tyle, że nie w tym samym charakterze co poprzednio. Wacława K. pracowała w szwalni. Przepisy przepisami, a my w Spółdzielni Inwalidów musimy preferować przede wszystkim inwalidów i osoby chore. Może i z nami wygra i nawet jej zapłacimy za ten cały czas, który pozostawała bez pracy, lecz to będzie wygrana przepisów, których jest za dużo i

już nam bokiem wychodzi, potrafi latem całymi godzinami stać na moście i wypytywać naszych pracowników o to i o tamto. On byłby najszczęśliwszy, gdyby mógł nas wszystkich wsadzić na dwadzieścia lat ciężkich robót. Jeśli rok liczy sobie 365 dni, to my w 1970 roku mieliśmy 392 dni kontroli. Już przywykliśmy do tego. I tak w tym czasie osiągnęliśmy cztery miliony zysku. Teraz będziemy mieć jeszcze wyższy zysk, gdyż rozbudowujemy się...

A kto z nas błędów nie popełnia?

Rzeczywiście, chodź może nie tyle o to, by ciągle zmieniać ludzi na stanowiskach, ale raczej, żeby ci ludzie sami się zmieniali. Wewnętrznie. A swoją drogą odnośnie wrażenie, że ten Olczak, wystający całymi dniami na moście, też uchronił wiele osób od dalszych błędów i przyczynił się do wewnętrznych zmian.

W materiałach pokontrolnych NIK znalazłem następujące kwiatki na temat Spółdzielni „Tęcza”:

— złomowanie czterech maszyn i motoru marki „Komar”. „Dostawa złomu do zbiornicy nastąpiła wcześniej niż fizyczna ich likwidacja”.

— premie. „Wyplacono wynagrodzenia oraz diety za udział w posiedzeniach, które odbywały się w godzinach pracy. Diety otrzymywali nawet ci, którzy nie byli obecni, a znajdowali się w podróży”.

— pożyczki na remont domków. „B. (kadrowa) i L. (wiceprezes) otrzymali większe pożyczki niż wykazały to rachunki przez nich przedstawione”.

— zakup odpadów wełnianych. „Spółdzielnia płaciła po 2,60 zł za kg, a sprzedala po 0,80 zł”.

Surowy inspektor wyraził nawet wątpliwość, czy w związku z tym obecny zarząd daje gwarancję prawidłowej gospodarności.

Odwiedziłem Irenę K., dziewczynę, której oświad-

Z TEKI ZJAZDOWEJ
IBISA-GRATKOWSKIEGO



Jerzy Andrzejewski



Leon Gomolicki



Mieczysław Jastrun



Jarosław Iwaszkiewicz



Jerzy Putrament



Antoni Stoniński



Melchior Wańkowicz

UCZELNIE i młodzież

Gdy stwierdzę, że jednym z naczelnych zadań wyższych uczelni jest kształcenie wysoko kwalifikowanych kadr dla gospodarki, kultury i życia społecznego kraju, muszę sobie zdać sprawę ze stopnia zdewaluowania tej oklepanej dziś formuły. Nie jedna to sfera najszybszej rzeczywistości, w której znane z przeszłości modele organizacji społecznej poniosły porażkę, żłobiąc po drodze wartościowe gleby, czyniąc szkody — jeżeli nie spustoszenia — w świadomości Polaków, nie tylko najmłodszej generacji.

Społecznym procesom pozbawionym perspektywy, zasadności na dziś, a często, w odczuciu wielu, wiodącym do nikąd, rzucone zostały tamy w formie bogatej propozycji Odnowy. Owe propozycje zrodziły czyn Partii — VII i VIII Plenum, a zaakceptował i rozszerzył VI Zjazd. Czyn całego społeczeństwa polskiego jest wyrazem poparcia tego kierunku politycznego działania, w czym także zawarta jest tajemnica powodzenia harmonijnego rozwoju kraju — najbliższych i najdalszych lat.

Kto styka się na co dzień z młodzieżą akademicką i potrafi dotrzeć do bogactwa problemów, jakimi ona żyje, ten nie powinien wątpić, iż w istocie zasób swej wiedzy, energii i twórczej ambicji odda ona krajowi, jednakże sposób i forma świadczenia będą zależne od przygotowania tej młodzieży przez szkołę — w tym wypadku akademicką — oraz rynek pracy i stosunki społeczne, panujące w środowiskach, które wchłoną tę ogromną masę młodzieży. Należy mieć nadzieję, że nim dojdzie do zasilenia nową energią ludzka licznych społeczności pracujących, zajdą tam takie zmiany, które nie dopuszczą do zmarnotrawienia tej energii.

Byłoby czężą retoryką, bajaniem o rzeczach wymyślonych przez autora, gdyby nie opinia corocznych absolwentów wyższych uczelni o warunkach i klimacie pracy w miejscu zatrudnienia, pierwszej w ich życiu pracy. Zbyt rzadkie są wypadki radości z jej powodu, zbyt liczne przykłady rozczarowań, przygnębienia i troski, których mogłoby nie być. Prośby i pytania płyną do byłych opiekunów uczelni i nie łatwo tu o radę — zwłaszcza w sytuacjach, w których nie rada mogłaby być pomocą, lecz uruchomienie kompetencji i dobra wola odpowiedzialnych za ten stan ludzi i instytucji.

Wytyczne na Zjazd partii mówią, że programowym zadaniem jest „stworzenie warunków wszechstronnego udziału młodzieży w budownictwie socjalistycznym”. Partia zamierza to osiągnąć, m. in., przez wskazanie młodzieży „kierunków aktywności, od których zależy dalszy rozwój socjalistycznej ojczyzny oraz przedsięwzięć, mogących stać się trwałym wkładem młodego pokolenia w dorobek narodu”, a także przez zapewnienie możliwości realizacji twórczych inicjatyw młodzieży. W urzeczywistnieniu tych celów wezmą udział organizacje młodzieżowe, które „kształtować winny w młodym pokoleniu świadomość stojących przed nim historycznych zadań, inspirować i organizować młodzież do ich wykonania”. Oznacza to, że kończy się model szkoły-wyęgarni niedorajdów życiowych, biernej masy nadzianej encyklopedyczną wiedzą, bez opanowanych umiejętności praktycznego jej użytkowania w konkretnej rzeczywistości społecznej. Ewentualnym moim adwersarzem, którzy skłonni byłiby podać dziesiątki przykładów dobrej roboty szkoły i organizacji młodzieżowych gotów jestem przyznać rację gwoździom i prawdzie. Jednakże co najmniej tyle samo można podać przykładów negatywnych. Daleki jestem od zdejmowania odpowiedzialności za ten stan rzeczy z kadr naukowo-dydaktycznej uczelni, a zwłaszcza uczelnianych organizacji partyjnych. Wręcz przeciwnie. W kadrze nauczającej, w jej naukowym i społeczno-politycznym zaangażowaniu, w specyficznym mikroklimacie poszczególnych uczelni i wydziałów, w stopniu przyswojenia przez nie idei Odnowy — widzę możliwości, które zdecydują o tym, jaki będzie wkład w życie kraju i jak spżytkowana będzie energia 3,5 mln młodych ludzi, urodzonych po wojnie, wychowanych i wykształconych w ustroju socjalistycznym.

A tymczasem słyszę głosy aktywistów młodzieżowych — pełne utyskiwań na brak aktywności i zainteresowań organizacją... Widzę młodzież uczącą się, pracowitą, poważną, aktywną, rozpolitykowaną, zatroskaną o losy swego pokolenia i kraju. Sądy ich są również bardzo często dojrzałe. Ani rusz więc nie mogę się zgodzić z negatywnymi o niej opiniami! — Ech — tak myślę sobie w trakcie wysłuchiwania biadoleń — gdybym mógł wejść w tę kipiącą życiem masę, zapomnieć o latach,

które mnie od niej dzielią, głowę dając, że byłibyśmy znów — jak ongiś — nie gorsi, przeciwnie, o ileż lepsi — wszędzie tam, gdzie młodzi być powinni. Owszem, wiedza, nauka przede wszystkim, ale i na budowach, na wsi przy pracy i wszędzie tam, gdzie ofiarne pracowały pierwsze hufce młodzieżowe „Służby Polsce”. Ich śladami poszlibyśmy, tworząc wartości wielokrotnie spotęgowane. Szeroka perspektywa możliwości i osiągnięte efekty rąk i mózgów zamieniały się w potężne motory działania. Sens pracy, dobra organizacja pracy, możliwości odnajdywania w niej i realizacji także osobistych celów i aspiracji życiowych zamieniały się w niewyczerpane źródło energii i aktywności tego pokolenia.

Smłem twierdzić, iż przedgrudniowy klimat polityczny w kraju fatalnie oddziałal na ruch młodzieżowy, sparaliżował ukryte mechanizmy, które wylaniałyby aktywnych działaczy młodzieżowych; działaczy, którzy winni być solą tej gleby, tkwiąc w krwioobieg tego wrażliwego i skomplikowanego organizmu. Znaczna część aktualnych przywódców młodzieżowych została wyłoniona w atmosferze, którą zwykliśmy nazywać stanem inercji i застоju. Wybrano działaczy w celu zachowania pozorów i nie tych najzdolniejszych, najaktywniejszych, niespokojnych, niezadowolonych, lecz — grzesznych, łagodnych, gładko uczesanych, łatwych do prowadzenia za rączkę.

Opowieści o zbiurokratyzowaniu władz organizacyjnych i ich pra-

cy napawają smutkiem! Odnależ tam można wszystko, czego być nie powinno; z łamaniem statutu organizacji włącznie. Już na drugi dzień po wyborach młodzież studencka zastawała swoich mandatariuszy w wydzielonych pokojkach, przy biurkach — gładkich i spokojnych, cedzących żargonem organizacyjnym polecenia, instrukcje; wydających decyzje o pomocy pieniężnej, wyjazdach zagranicznych, piszących opinie... W biurku Rektora UL jeszcze ciepła leży skarga członka organizacji ZSP, któremu wydano opinię negatywną z rażącym pominięciem faktów. Mini-urzędnik młodzieżowy, a już maxi-biurokrata i pseudodziałacz naraża koleżankę na kosztowne przejazdy do stolicy, doprowadza do konfliktu, który niczym nie da się usprawiedliwić. W owej skardze widzę opinię studentów o stylu pracy części aktywu i bardzo wiele jeszcze nieprzyjemnych rzeczy.

Koncepcja aktywizowania środowiska studenckiego winna być rozwijana z myślą o realiach najszybszej socjalistycznej rzeczywistości, rozbudowanych i wciąż rozwijających się, jak w żadnym chyba systemie społeczno-politycznym, formach samorządności społecznej. Dalsza demokratyzacja życia społecznego idzie, i będzie iść, w parze z wręcz kolosalnym zapotrzebowaniem na doświadczonych kadry, które podejmą niezliczone, że pominię tu sferę produkcji, obowiązki społeczne i zawodowe, wynikające ze struktury polskiego ludowładztwa socjalistycznego, tak w przeszłości, jak i współcześnie kopiowanego i podpatrywa-

nego przez inne państwa i narody (szkoda, że o tym tak mało wiemy i mówimy. Przysłałoby się z wielu względów).

Większość tych obowiązków będzie musiała podjąć kształcąca się obecnie armia młodzieży. Żeby nie było miejsca na idee i postawy niemożności, schematyzm, oportunistyczny, wygodnictwo itp. grzechy główne — dziś o tym należy pomyśleć i przyspieszyć tempo nad opracowaniem i realizacją modelu absolwenta wyższej uczelni, wszechstronnie przygotowanego do samodzielnego myślenia, działania, podejmowania decyzji. Bo czym skorupka za młodu itd. W tym widzę palącą potrzebę rewizji i przewartościowania także wielu stron procesu dydaktycznego; pod tym kątem doborania i kształcenia kadry naukowo-dydaktycznej. Wręcz olbrzymia w tym inspiratorska rola organizacji partyjnych, które do bezpośredniej współpracy z organizacjami młodzieżowymi, winny wyłonić najbardziej doświadczonych, o wyjątkowo szerokich horyzontach myślowych i kulturze politycznej członków partii. Nie bez znaczenia tu byłby również wiek aktywisty partyjnego (choć nie przeceniałbym tego faktu, jako że wśród bardzo młodych spotykanym wcale nie mniej tzw. wapniaków). A zatem, jak w żadnej innej dziedzinie życia społecznego, ustawiczna troska o kadry działaczy młodzieżowych winna stać się jednym z naczelných obowiązków całej uczelni wedle zasady: pierwzej nauczmy — później wymagajmy.



Dlaczego Łódź musi być brzydka?

Dalszy ciąg ze str. 1

Możliwość pierwsza, czyli likwidacja szczególnie brzydkich, by wyeksponować ładne i ładnym zastąpić brzydkie.

Nie wydaje mi się, byśmy kroczyli tą drogą. Oto argumenty: była w eklektycznej pierzei ulicy Piotrkowskiej szczerba pod nr 94, więc ją zaplombowano domem,

który pasuje tam jak pięść do nosa, wykonanym przy tym tak tandetnie, że stanowi paskudną reklamę instytucji, która się tam mieści. Tandetę w budownictwie dzielimy na dwie grupy. Tę starą, kapitalistyczną, nadającą się do kpłn i krytyki oraz tę naszą współczesną. Ktoś powiedział: potrzebna nam jest ilość. Wtedy nieroby oświadczyły: „fajno”, i

zaczęły (excusez le mot) knocić. Zdarzyło mi się holować po Łodzi węgierskich kolegów-dziennikarzy. Kiedyśmy podjechali pod zakłady „Femina” uprzedziłem ich, że fabryka pracuje w starych budynkach Plichala. Jedynie budynek administracyjny jest nowy. Kiedyśmy weszli do tego nowego, to aż mnie skrzyknęło ze wstydu na widok tych „tynków przemysłowych”, tych schodów lastriko z balustradą wykonaną w przedszkole rzemieślniczym, tych pokoi biurowych o standardzie budki dróżnika w miejscowości Chechło. Wniosek: tandetna robota eksponowana obok relikwów starej Łodzi nie zmienia nic na lepsze. I jeszcze jedno.

Nakazy współczesnego transportu i komunikacji każą nam wyburzać i poszerzać ulice. Metodą króla Cwiczka oddubujemy po cegiełce od czwartego pietra zaczynając i spuszczaemy po drewnianej rynience do kolegi, który czekaniem obja zaprawę na dole. Powoli, ale jakoś to

idzie. I odsłaniają się oficyny: lewa, prawa i poprzeczna. Powstaje dziwisko urbanistyczne, bardzo brzydkie. To konieczność. Nie winię o to nikogo. Po prostu wyjaśniam, dlaczego Łódź musi być brzydka.

Możliwość druga: pozostawienie fragmentów pięknych działaniu atmosfery i bosaków strażackich. W tym byliśmy przez 25 lat konsekwentni. Dysponując najpiękniejszym w Polsce zespołem budynków secesyjnych, dopuściliśmy do ich znacznego zniszczenia. Konserwator zabytków, poprzednik Antoniego Szrama tak był pochłonięty wystawianiem zezwoleń na wywóz dóbr kulturalnych z Łodzi (patrz sprawa karna przeciwko Gadomskiej i Polańskiemu w Sadzie Woj. dla m. Łodzi w roku 1967), że nie zatroczył się o zakonserwowanie ani jednego zabytkowego budynku. Jeżeli mgr. Szram doprowadził do ustalenia listy zabytków architektonicznych, to on sam i jego współpracownicy mocno się

nagimnastykują, nim odtworzą kształt elementów, które się dawno w proch rozspalyły. I czy czeka, by przecieć czas nie czeka. Zanim przyjdzie kolej na remont pięciu Atlasów przy ulicy Narutowicza 45, nie pozostanie im ani jeden palec u nóg i znów będziemy się uciekali do wyobraźni. Chcąc sytuację ocenić trzeba, nie mogę się powstrzymać od stwierdzenia, że jak dotąd w wyścigu z niszczącym działaniem atmosfery — atmosfera jest góra. Nie mówię tego po to, by komukolwiek uchybić. Po prostu wyjaśniam, dlaczego Łódź musi być brzydka. I wrzeszczę:

Możliwość trzecia — czyli Nowa Łódź na gruzach starego. Ten wariant realizujemy od lat z powodzeniem. Jeszcze Łódź miedzywojenna była dumna z Helenowa. Dziś to już trzeciordzędny skwer, tak mało przypominający park, że jeżeli komuś wpadnie do głowy zabłysnąć talentem na miarę Corbusiera, to doczekamy się ostatecznej likwidacji parku. Kilka-

OPERA BUFFA PO POLSKU

Wojciech Młynarski myślał o napisaniu musicalu. Całkiem współczesnego, odpowiadającego gatunkowi, który uprawiał dotychczas. Napisanie libretta do opery stylizowanej na XVIII-wieczną, nie zaświtało mu nawet w głowie, nie leżało w zasiegu jego zainteresowań. Ale często nie zamiary lecz przypadek kieruje losami ludzi i ich działaniem. Młynarski przyjął propozycję napisania osiemnastowiecznego libretta. I choć wiemy już dziś, że napisał je tak, jakby to było marzeniem jego życia, on sam wciąż nie jest pewien, czy wniósł na swoje konto libretto do opery czy też innej formy scenicznej. W programie napisał, że widzi „Henryka VI na łowach” *) jako osiemnastowieczny musical. Kiedyś indziej powiedział, że jest to rodzaj widowiska. Nie zgadzam się ani z jednym ani z drugim określeniem. „Henryk VI na łowach” jest na widownię zbyt kameralny, z musicaliem nie ma nic wspólnego. Wprawdzie teatralny pierwowzór pióra Bogusławskiego to nie commedia dell'arte, ale przecież znajdujemy w tej operze i elementy ludowe i piosenkę zamiast arii i szybki recytatywy secco — cechy charakterystyczne opery buffa.

Tak więc Młynarski nieświadomie napisał libretto opery komicznej, natomiast — jak się wydaje — całkiem świadomie dał ku temu gatunkowi Kazimierz Dejmek i twórczością librecisty kierował tak, by zamierzenie otrzymało niemal klasyczny, choć bardzo polski kształt. Wśród licznych talentów, które posiada Kazimierz Dejmek, nie najmniej ważny to umiejętność dobierania współpracowników, współrealizatorów podjętego zamierzenia. I to jest jedna z głównych przyczyn sukcesu łódzkiej prapremiery w Teatrze Wielkim. Inna jest pietyzm, z jakim podeszł do dzieła Kurpińskiego i Bogusławskiego autorzy i realizatorzy przedstawienia.

W tym przypadku zresztą, podział na autorów i realizatorów wydaje się sztuczny. Bo do której grupy zaliczyć Kazimierza Dejmka? Z pewnością do obydwu. On przecież jest duszą tego dzieła od pomysłu po ostatnie szlify sceniczne. Do której grupy należy Zygmunt Latoszewski? Przecież to właśnie jego zainteresowanie muzyką niedocenianego w Polsce Karola Kurpińskiego, chęć wystawienia któregoś z dzieł kompozytora w Łodzi stały się źródłem inspiracji. W tworzeniu tej opery wszyscy realizatorzy są właściwie współautorami.

Libretto było pisane do muzyki, czasem muzyka dobierana do libretta. Podstawę stanowiła muzyka „Pałacu Lucypera”, sięgnięto również do dwóch innych oper Kurpińskiego. Pierwszym zadaniem, jakie postawił sobie Jerzy Dobrzański, było z pewnością pokazanie pięknej muzyki Kurpińskiego, wydobyć z zapomnienia najcenniejszych jej fragmentów,

Niczego, z instrumentacją włącznie nie zmieniając. Jerzy Dobrzański był zmuszony dokomponować klasyczne partie do recytatywów. Nie wątpię, że Kurpiński zaakceptowałby te wstawki.

Kazimierz Dejmek zamierzył przedstawienie XVIII-wieczne i konsekwentnie je zrealizował. Na ogromnej scenie Teatru Wielkiego powstała mała scena teatru dworskiego, otoczona lasem jakby wyciętym ze starego malowidła. Lekki wiatr porusza liśćmi drzew, prześwitują przez nie promyki słońca Utrzymując w tonacji zieleni i brązu — kolorystyce lasu również, większość kostiumów Andrzeja Majewski stworzył piękne scenograficzno-kostiumowe dzieło plastyczne. Jego dekoracja dodała przedstawieniu wiele uroku, którego nie brak i w inscenizacji. Jak przystało na teatr dworski, panowie artyści klanają się publiczności, zwracają się do niej bezpośrednio, przemawiają z proscenium. Jakże wdzięczna i śliczna to konwencja „z myszką”, jak przeuroczą zabawę daje współczesnemu widzowi, jakże znakomitym mistrzem w jej prowadzeniu jest Kazimierz Dejmek.

Dr Zygmunt Latoszewski, muzyk wytrawny, jest miłośnikiem twórczości Kurpińskiego i jej popularizatorem. Przygotowując dzieło muzycznie, wydobył zeń całą finezję lekkość i liryzm. Poprowadzona przez niego orkiestra oczarowała widownię prostotą, pięknem i melodyjnością tej muzyki.

Kierując się zapewne powszechnymi doświadczeniami w Polsce trudnościami wokalistyki, Jerzy Dobrzański obsadził główne role partiami barytonowymi i basowymi, tenorowe pozostawiając epizodom. Wbrew pozorom ta lekka melodyjna muzyka wcale nie jest łatwa dla śpiewaków, wymaga raczej mozartowskiej techniki śpiewu, dojrzałości i kultury wokalne. Liczne recytatywy, atrakcyjność dowcipnego „tekstu” czynią ten ostatni ważnym elementem przedstawienia. I to już zasługa Kazimierza Dejmka, że tekst dochodził do widowni bardzo czysto, wyraźnie. Wyjątek stanowił może pierwszy występ chóru (przygotowanego bardzo czysto i starannie przez Włodzimierza Pospiecha) zza kulisy. Na szczęście chór wynagrodził nam tę stratę w drugim akcie. Ogólnie trzeba powiedzieć, że elementy muzyczne i teatralne zostały tu wyważone w sposób bezbłędny. Zapewne dlatego, że Zygmunt Latoszewski docenił walory aktorsko-sceniczne przedstawienia Kazimierza Dejmka — muzyczne.

Centralną postacią „Henryka VI” jest strażnik lasów królewskich Koki (Bogusławski napisał te role dla siebie), którego stworzył w wykonaniu Stanisława Michońskiego. Wydaje się, że opera komiczna jest gatunkiem, w którym Michoński czuje się bardzo dobrze. Zdolności aktorskie, doskonała dykcja, walory głosowe pozwoliły temu artyście stworzyć po-



Na zdjęciu: Wł. Malczewski, S. Michoński, Z. Jankowski, T. May-Czyżowska, A. Majak i R. Sychalski

Foto: J. Neugebauer

stać tyle przekonująca, co zgodna z intencjami realizatorów przedstawienia. Partię króla Henryka przekazano w najlepsze ręce. Trudno o króla piękniej i wyraźniej śpiewającego, bardziej dystyngowanego, a jednocześnie prościej prezentującego majestat królewski, niż uczynił to Władysław Malczewski. Nie wiem, czy to sprawa inscenizacji czy indywidualności artysty, ale w tym przedstawieniu Henryk był właściwie postacią centralną. Zapewne ta wątpliwość rozstrzygnie się, gdy na scenę wejdzie druga obsada, która przygotowuje Kazimierz Dejmek po powrocie z Italii.

W nielatywnej wokalnie partii Betsy słuchaliśmy i oglądaliśmy Teresę May-Czyżowską, która rolę swoją potraktowała z odpowiedzialnością koloraturą w drugim akcie zdobyła wielkie brawa publiczności. Dawno nie oglądaliśmy na łódzkiej scenie operowej Marii Narkiewicz. Dla jej bogatego, o oryginalnej barwie mezzosopranu oraz charakterystycznego emplotu, rola Małgorzaty jest jakby specjalnie napisana.

Zbigniew Jankowski, dysponujący czystym, dźwięcznym barytonem, jako Ryszard w mniejszym bodaj niż inni stopniu, dostosował się do konwencji opery komicznej, ale to zapewne kwestia doświadczenia aktorskiego i — czasu dla jego zdobycia. W konwencji tej natomiast, jak ryba w wodzie, czuje się Romuald Sychalski, który w bądź co bądź epizodycznej roli lorda Rydynga, zaśpiewanej doskonale, zabył talentem aktorskim prezentując kreację, której nie powstydziliby się teatr dramatyczny. Antoni Majak, niezmiennie w doskonałej formie, świetnie zaśpiewał i zagrał młynarza Roberta, a specjalne brawa zbierał po trudnej koloraturowej roli Rolę Lurwella powierzone Je-

rzemu Orłowskiemu, trzech zabawnych milordów z poczuciem humoru zagrali: Adam Dulński, Stanisław Heimberger i Igor Mikulin. W roli gajowych wystąpili: Zbigniew Borkowski i Ryszard Czogala.

Nie mógł Teatr Wielki lepiej upamiętnić swego pięćdziesiątka, w którym wystawił dziewięć premier polskich a w tym trzy prapremiery. „Henrykowi VI na łowach” śmiało można przepowiedzieć długi żywot i to nie tylko na łódzkiej scenie.

I na zakończenie, tak już całkiem na marginesie: gdyby Wojciech Młynarski, po pierwszym swym scenicznym sukcesie, pokonawszy bakcyła teatralnego, dalej trwał w zamiarze napisania osiemnastowiecznego musicalu, Jerzy Dobrzański dalej chciał współ-

pracować z Karolem Kurpińskim, Zygmunt Latoszewski wystawił go na scenie, a Kazimierz Dejmek — reżyserował, to warto przypomnieć, że kompozytor ten napisał „Krakowiaków i Górali”, którzy w owych czasach nie zdolali przyciemnić „Krakowiaków i Górali” Bogusławskiego — Stefaniego, ale dzisiaj, kto wie...?

*) „HENRYK VI NA ŁOWACH”. Opera w dwóch aktach. Muzyka KAROLA KURPIŃSKIEGO w opracowaniu JERZEGO DOBRZAŃSKIEGO. Libretto WOJCIECHA MŁYNARSKIEGO wg komedii WOJCIECHA BOGUSŁAWSKIEGO. Kierownictwo muzyczne: ZYGMUNT LATOSZEWSKI. Inszenizacja: KAZIMIERZ DEJMEK. Reżyseria: KAZIMIERZ DEJMEK. Scenografia: ANDRZEJ MAJAK. Kier. chóru: WŁODZIMIERZ POSPIECHA. Teatr Wielki w Łodzi. Prapremiera 29 stycznia 1972 r.

spektakle tygodnia

	Ilość spektakli	Liczba widzów	Proc.
WIELKI			
„Aida”	1	1760	100
„Królewna Śnieżka”	2	2228	88
„Madame Butterfly”	1	1260	100
„Henryk VI na łowach”	1	1260	100
NOWY			
„Idiota”	4	2240	80
„Sprawa Danton’a”	3	2100	100
„Dziś do ciebie przyjdę nie mosę”	1	700	100
„Żołnierz i bohater”	1	700	100
NOWY — Mała Sala			
„Ofiary obowiązków”	2	360	90
„Kociol”	2	360	90
„Urodziny”	1	160	80
POWSZECHNY			
„Perla”	3	1980	100
„Ksiądz Marek”	1	800	87
„Królewskie polowanie na słońce”	1	600	95
JARACZA			
„Szklanka wody”	4	2146	97
„Tajemniczy ogród”	1	536	98
7.15			
„Po górach, po chmurach”	7	2210	75

lat temu wzniesiono budynki mieszkalne, niszcząc ostatnią grupę drzew dawnego Paradyzu, a więc dawnej puszki łódzkiej, która kilkoma okazami zabłądziła w środek miasta i w środek XX wieku. Wreszcie — od wielu już lat władze miejskie zamartwiała się, że plac Wolności zachował trochę swojego dawnego uroku, szukano więc sposobów, jak by ten plac wykończyć i sposób znaleziono. Tu, że sprawa jest ważna, a w Łodzi dziennikarskie głosy rzadko płyną pod niebiosa, powołałam się na autorytet.

Jesienią bawił w Łodzi jeden z największych w Polsce autorytetów w dziedzinie zabytków, doc. dr. Witold Krassowski. Właśnie na pl. Wolności zaczęto rozbiórki klasycystycznych domów przy rogu Nowomiejskiej. Doc. Krassowski rozmawiał ze mną, z trudem panując nad oburzeniem. Przedstawił mi swój punkt widzenia.

Dawny plac Wolności stanowił

konsekwentny układ urbanistyczny, w którym ratusz, domy, kościół, szkoła realna (obecne Muzeum) i jatki stanowiły integralną całość. Urok placów z czasów Królestwa Kongresowego polegał też na ich proporcjach: dwie kondygnacje wysokości wobec 200 m. średnicy. Dwa kamienicznicy zepsuli ten układ, wznosząc gdzieś w końcu XIX w. na swoich działkach dwa domy wielokondygnacyjne. Bo skoro już mieli działki, to chcieli z nich wyciągnąć jak najwięcej, bez względu na estetykę placu. Ich koncepcja zyskała aprobatę w roku 1971 (i nieco wcześniej) i oto powstaje nowy plac Wolności, który nie ma nic wspólnego z historycznym. Bo skoro pozbyliśmy się większości jego elementów, nie stoi na przeszkodzie, aby zburzyć resztę, z ratuszem włącznie.

Tyle doc. Krassowski. Przy okazji przypomnę, że mamy w Łodzi Oddział Stowarzyszenia Historyków Sztuki.

Skoro plac Wolności mamy już „z głowy”, zajmijmy się jeszcze jednym zakątkiem Łodzi.

„Głos Robotniczy” zamieścił w nr. 16 z dn. 20 stycznia br. plan przebudowy centrum Łodzi. Plan ten przewiduje, że „strefa gastronomiczno-usługowa” wrzyna się w park im. Sienkiewicza, poza tym zaś park ten zostanie w poprzek przecięty pięcioma drogami. Dwie z nich prowadzić będą do kina na wolnym powietrzu, pozostałe — do „strefy gastronomiczno-usługowej”. W praktyce oznacza to: wycięcie mnóstwa starych drzew, oraz by oczyścić przestrzeń dla budynków, by oczyścić miejsce dla dróg.

Wznoszenie budynków pociągnie za sobą wycięcie drzew na tzw. placu budowy — praktyka uczy, że nasi mistrzowie tynków przemysłowych są bezwzględni dla zieleni przeszkadzającej w pracy, a nikt jeszcze w Łodzi nie odpowiadał za niszczenie starodrzewu. Ponieważ budynki administracyjne, które mają stanąć

wzdłuż ul. Kilińskiego dotykają granicy parku, ich plac budowy spowoduje dalsze zniszczenia.

Jeżeli projekt, opublikowany przez „Głos Robotniczy”, zostanie zrealizowany, park Sienkiewicza przestanie istnieć. Zostanie skwer, zatłoczony tłumem klientów gastronomicznych i widzów kinowych. Być może, że są jakieś wyższe racje, dla których park ten należy zniszczyć. Ja poruszam tę sprawę po to tylko, by wyjaśnić, dlaczego Łódź musi być brzydka.

Oczywiście obok opisanych wyżej metod skutecznego zepszczenia Łodzi istnieją zastarzałe kleksy, których nie zlikwidowano dotąd i o których likwidacji nie myśli nikt. Są to: nasza wizytówka wobec świata pt. Dworzec Kaliski. PKP nam tego nie robi, bo ma 4 razy do roku kłopoty z niespodzianym pojawianiem się nowych pór roku; plac Barlickiego, popularnie zwany Zielonym Rynkiem — plac o zabudowie zdolnej kon-

kurować z placami Rozpry, Kamińska i Bełchatowa; zresztą obskurnych placów mamy więcej. Choć miasto nasze daje potężną część dochodu narodowego, wielu zakładom przemysłowym wciąż brakuje pieniędzy na urzędzenia odpylające — ale za to dawny, piękny wysokopięny las łagiewnicki coraz bardziej zamienia się w zagajnik, bowiem Zarząd Zieleni musi sprzedawać drzewo.

Jest to bardzo niepełny wykaz przyczyn, dla których Łódź musi być brzydka.

Mamy od niedawna nowego Głównego Architekta Łodzi, w osobie mgr. inż. Jerzego Sadowskiego. Może on korzystać z pomocy pełnego dobrych chęci i umiejętności konserwatora mgr. Antoniego Szrama. Miejmy nadzieję, że obaj zabiorą głos na poruszone wyżej sprawy. Bo przecież w ich ręku spoczywa wiele decyzji.

JERZY URBANKIEWICZ

Światło ostrzegawcze

(Opowiadanie)

„Już czas!”

Serafim Grigorjewicz natychmiast otworzył sklejone drzemką powieki i wytrześcił oczy na zegar. Była za kwadrans piąta. Użyło mu, ale mimo to powtórzył głośno: — Już czas, czas...

Oderwał oczy od wskazówek i nie odwracając głowy obmacał spojrzeniem pokój. „Och, ten długowłosy czort! Gdzież on przepadł?” — pomyślał ze złością.

— Matka! — zawołał półgłosem usłyszawszy brzęk talerzy w kuchni. Żona nie odezwała się.

— Matka! — krzyknął głośniej.

Talerze przestały dzwonić. Rozległy się kroki.

— No, czego chcesz? — żona stanęła w drzwiach.

Usłyszał w jej głosie rozdrażnienie i pomyślał: „Złości się. A o co jej chodzi? Nie narzekam przecież... Zawolałem ją i to wszystko. Obmierzałem jej! Kiedy zdrowy byłem... Ech, obmierzałem jej, to jasne!” Ukrył jednak swoją urazę i nawet postarał się nadać głosowi przyjemne brzmienie:

— Waśki tam u ciebie nie ma?

— Jest — kiwnęła głową. Znow usłyszał w tym „Jest” złość, ale żona sama widocznie to pojęła i już bardziej miękko powiedziała zerknąwszy na zegar. — Zazwyczaj ci go przysię.

Po chwili jak kula wleciał nastroszony Waśka i od razu czmychnął w kątk pod szafkę, na której stał kupiony niedawno telewizor.

„Jeszcze go, bestia, zruci!” — przemknęło przez myśl i Serafim Grigorjewicz poczuł, że echo tej myśli odezwało się bólem w sercu.

Kot się nie ruszał ze swej kryjówki, więc Serafim Grigorjewicz zaczął pieszczotliwym głosem:

— Ależ ty, Waśka, jesteś głupi! Po co tak skaczesz, jak opętany? Chcesz sobie serce nadwyżyć? To wcale nie jest trudne, ale... Wiesz co, chodźmy lepiej na świeże powietrze. Trzeba, bracie, słuchać lekarzy. Co?... Nie chcesz iść? Tobie, wiadac, też obrzydłem...

Było mu wygodnie i dobrze siedzieć tak na tapczanie ze spuszczonej nogami, ale zmusił się jednak do wstania. Szurając po podłodze chorymi nogami podreptał ku Waśce. Kot przycałił się i utkwilił gniewny wzrok w swym panu. A gdy Serafim Grigorjewicz z wysiłkiem nachylił się i wyciągnął rękę, to zdawało się, że Waśka przebieje ścianę tułowiem i zniknie.

Długie zimne palce Serafima Grigorjewicza zanurzyły się w miękkiej gestej sierści, prześliznęły się na podbrzusze i wyciągnęły Waśkę spod szafki. Kot naprężył się, a w oczach mignęły zielone złośliwe iskry, które zresztą zgasły od razu. — Widzisz, kochanećku, już po wszystkim, — z zadowoleniem wysapał jego pan, przycałując kota do boku takim samym gestem, jakim kiedyś przycałował swoją starą teczkę z buchalteryjnymi wykazami i wycieczkami. — Nie miałeś przecież innej alternatywy.

Zadowolony, że popisał się mądrym słowem, powtórzył jeszcze raz, wsłuchując się w brzmienie wyrazu: — Al-ter-na-ty-wy... Rozumiesz chyba!

Schodzenie po schodach było zawsze męczące, długie. Szedł bokiem, stawał na stopniu najpierw jedną nogą, potem powolutku dosuwał do niej drugą. I tak co stopień. Gdy nogi zaczynały już dźwżyć z napięcia, zatrzymywał się, aby dać im wytchnienie.

Nie wiadomo dlaczego, ale na schodach zawsze przypominało mu się, jak to żona chciała zamienić się mieszkaniem z kimś z lokatorów mieszkających niżej. Nikt nie chciał — piąte piętro — za wysoko. I za każdym razem nie mógł się powstrzymać od pełnych wyrzutu słów: „Ech, co za ludzie!” Nie miał konkretnych osobistych pretensji do któregoś z tych mieszkających na parterze czy na pierwszym piętrze sąsiadów, miał pretensje do wszystkich, kto mieszkał niżej niż on. Zresztą było to dość dawno i z czasem nutki wyrzutu zaczęły jakoś wygasać, tak że teraz to „ech, co za ludzie” brzmiało już spokojnie i beznamiętnie, prawie tak samo, jak „kot Waśka”.

Dziedziniec dokoła domu niedawno polewano wodą, ale miejscami asfalt zdążył już wyschnąć i wyglądało to, jak centki osy. We wgłębieniach — zdawało się — nie woda stała, lecz płynne słońce.

Przysiadłszy na ławce przed podjazdem Serafim Grigorjewicz poczuł, że mury domu tchną ciepłem, które wchłonęły w siebie za dnia. Przyjemnie było czuć to ciepło na skórze, chciało się przytulić policzkiem do muru.

Kiedy siedział na ławce, lubił obserwować wszystko, co działo się dokoła. Zawsze, nawet będąc jeszcze przy dobrym zdrowiu, był malomówny, skryty. A kiedy go „złapał paraliż”, wielu znajomym wydawało się, że trochę mu się rozum pomieszało. Serafim Grigorjewicz wiedział, co o nim mówią, ale nie próbował nikogo przekonywać o bzdurności tych plotek. Mało kto miał chęć z nim rozmawiać, nauczył się więc siedzieć godzinami w milczeniu, jeśli rozmawiał, to sam ze sobą, bez słów, milcząc potępiał lub chwalił postęпки innych, w milczeniu śmiał się lub oburzał.

Zjawiał się na ławce dwa razy w dzień — rano i wieczorem. Czasami ktoś się do niego przysiadł. Jeśli zbierało się więcej osób, prowadzono długie rozmowy. Nikt nie zwracał na niego uwagi. A on siedział i słuchał, nie odwracając głowy do żadnego z rozmówców i tylko palce lekko muskały sierść leżące na kolanach Waśki.

Ostatnio coraz częściej mówiono o tym, jaka to obrzydliwa wieża telewizyjna wyrosła tuż za blokami. W głębi duszy pieścił myśl, że jeszcze dożyje tego dnia, kiedy rozjaśni się ekran jego telewizora. Żona wywalila za niego niemałe pieniądze. „Będziesz miał okno otwarte na wszystko, co zechcesz — powiedział wtedy. — To będzie i kino, i koncert... kobietki młode...”. Pamięta, że nawet oburzył się wtedy na to gadanie: co to za brednie — młode kobietki — przy jego zdrowiu... Ale czasami aż się wierzyć nie chciało, że ten taki sobie zwykły szary ekranik może się rozjarzyć od wewnątrz i, jak mówią, stać się błękitnym. W gazetach czytał, że wieża ma ponad sto metrów. Przeklecie dachy...

Waśka leżał spokojnie, jakby to nie on przed kilkoma minutami miażdżył się po mieszkaniu i jak zaszczuty przywieriał do kąta. Serafim Grigorjewicz poruszył palcami, polaskotał za uchem cienką ledwabistą sierść. Kot nie podniósł głowy, zamruczał od niechcenia.

Nagle Serafim Grigorjewicz przypomniał sobie lekarzy. „A może i telewizję zabronią mi oglądać? Kto ich tam wie, co jeszcze wymyślą...” Przeszastywszy się tej myślą, po raz pierwszy od chwili kiedy zachorował, zaczął odczuwać niechęć do le-

karzy. „Co to za życie? Wszystkiego się bój wszystkiego się wystrzegaj... A po co to wszystko, w imię czego? Po to, żeby siedzieć tu na tej ławce, aż do tego dnia, kiedy...”. Podświadomie lękał się nawet w myśli wyrzec to słowo — „śmierć”. Bał się go. I zawsze kiedy tok rozmyślań doprowadzał go do tego słowa, Serafim Grigorjewicz zatrzymywał się. Ta nędzna wegetacja, na którą został skazany, nazywała się jednak życiem. To było jednak szczęście — życie, oddech, ruchy własnego ciała, milcząca rozmowa ze sobą. To nic, że jesteś chory, słaby, ale widzisz za to słońce, niebo, drzewa... Wszystko to jest takie zwykłe, banalne, że kiedy jesteś zdrowy, to wcale tego nie widzisz, ale jeśli spojrzeć innymi oczami — to jest właśnie życie, zadziwiające, cudowne życie.

„A kiedy tu przestanę być — gdzie będę? — znów, na przekór woli wróciła myśl o śmierci. — Mówią, że tam jest mrok, pustka. Ale ja nawet nie poczuję, nie zobaczę tego mroku. Zniknę... Zupelnie! — nie mógł tego zrozumieć. — A może przelotczę się w jakiegoś robaczka? — Przeciwno tej myśli od razu jednak zaprotestował. — Po co? Jaką korzyść przynosi robaczek? Już lepiej niech nie będzie nic...”

Jakiś szkrab z kokardą na głowie stał opodal i przyglądał mu się. Włoski miała rzadkie, a kokardę białą, dużą, powiewającą jak motyl.

Serafim Grigorjewicz wiedział, że choroba wycisnęła na jego twarzy swój smutek. Twarz stała się szara, nieruchoma jak maska. I wiedział jeszcze, że dzieci boją się jego twarzy. Ta dziewczynka — też się boi. Ale nie ucieka, stoi i patrzy. A oczy wyrażają strach, chęć ucieczki. „Przegonić ją spojrzeniem?... Pobiegnie, może upaść... A i sukienkę pobrudzi, kolano może stłuc...”

Schowal oczy pod powiekami i znow polaskotał Waśkę za uchem.

— Proszę pana, czy bardzo pana boli? — usłyszał urywany głosik.

Podniósł wzrok i spróbował uśmiechnąć się. W oczach dziecka zobaczył litość.

— Nie, córucho — głos brzmiał ochryple, glucho.

— A ja myślałam, że bardzo.

Przeknął ślinę, żeby uwolnić się od suchości w gardle i powtórzył:

— Nie... Nie bardzo.

Wysłuchał się w swój głos i ze zdumieniem zauważył, że zabrzmiły w nim ciepło, łaskawe nutki.

— Przecież pan ani trochę nie jest straszny — zdziwiła się dziewczynka. — Dzieciaki mówią; nie podjeżdżesz. A ja mówię; podejść...

— Od razu zauważyłem, żeś nie tchórz. — pochwalił ją.

— Proszę pana, a kim pan jest?

Zamyślił się i ze smutkiem rzekł:

— Tak sobie... nikim.

Oczy dziecka zaokrągliły się. Oburzona, że ją okłamują, odparła:

— Przecież to absolutna nieprawda... Każdy człowiek musi kimś być... Mechanikiem, wychowawczynią, dozorcą. Nikim nikt nie jest.

— A ty kim będziesz? Mechanikiem?

— Nie-e, to tatuś... Ja będę mamą.

Serafim Grigorjewicz zmieszal się i burknął:

— To dobrze.

Patrzył na nią i myślał: „Cóż, jesteś odważna. Na pewno będziesz mamą... A moja Helena stchórzyła. Z początku uważała, że jeszcze za wcześnie, a potem — było za późno”.

Dziewczynka raz po raz oglądała się na koleżanki, chętnie kręciła główką, jakby chciała powiedzieć: „Widzicie, nie zlekkałam się, nie boję się...”

— Proszę pana, prawda, że ja się nie boję?

— Prawda.

— Czego miałabym się bać? — znów się obejrzała. — Ja już sobie pójdę, do-brze?

Kiwnął głową, a potem patrzył, jak biegła do koleżanek, które otoczyły ją, jak stado wróbli. Pochwyciły, pohalały i pobiegły gdzieś, aż zniknęły z oczu.

Dziedziniec wydał mu się teraz smutny, a on sam bardzo samotny. Zmarkotniał. Znow zaczął rozmyślać o życiu. Lata mignęły i wszystkie podobne były do siebie, jak słupy kilometrowe wzdłuż szarej, pustej drogi — jednakiej wielkości, jednakiej grubości — jak bliźniaki. Przez całe życie był tylko buchalterem. W głowie i w teczce — cyfry, cyfry, rubryki, których zawsze nienawidził, ale od których nigdy nie umiał się uwolnić, nie miał sił, bał się od nich oderwać.

Obawiał się, że do niczego innego się nie nadaje, a tu miał pewny kęs chleba. I ciągle ten niepokój, że się pomylił, że obliczył. Bał się, że wlepią mu nagane lub, co nie daje boże, wygarną na zebraniu. Bał się również pochwał: żeby nikt nie pomyślał, że się podlizuje, pcha do przodu, wysługuje sobie order. Unikał gwarnych ulic, wesołych twarzy, pięknych kobiet, lękał się nawet nienarodzonego dziecka. Zdawało mu się, że dziecko będzie po nocach chrypiało od krzyku. A potem bał się, że żona już nigdy nie urodzi, że już za późno. Czasami zdawało mu się, że jest zlepką strachu, który przepelnia każdą komórkę jego ciała.

„Zupelne zero...” — podsumował swoje niewesołe myśli.

Nagle owładnęło nim pragnienie: wstać i twardym, normalnym krokiem, nie czapiąc, podejść do klatki schodowej.

„A serce?” — kołnęło przerażone pytanie. Wstał z ławki powoli jak zawsze i nogami zaszurał po dawnemu. I właśnie w tej chwili ogarnął go niepojęty gniew. Nie bardzo zdając sobie sprawę z tego, co robi, po raz pierwszy od wielu już miesięcy skierował swe kroki nie ku klatce schodowej, lecz ku bramie prowadzącej na ulicę.

Gdy Serafim Grigorjewicz wstał pod mroczne i chłodne sklepienie bramy, nie wiedział, nie rozumiał, po co tu idzie. Zatrzymał się i gotów był zawrócić. Ale przypomniał sobie o wieży, o tej wieży telewizyjnej, którą wszyscy widzą codziennie. Wszyscy, oprócz niego.

— Czego miałbym się bać? — powtarzał bezwiednie pytanie dziewczynki. — Czego się bać?

Szedł powoli, ociężałe i niemrawie. Kiedy znalazł się na rozświetlonych płytach trotuaru przechodnie omijali go, jakby połykali się o niego, zwalniali kroku, oglądali się. Cóż oni go obchodzili! Chciał spełnić swe jedyne pragnienie — zobaczyć w... Zastaniały ją jeszcze wysokie, gestę drzewa rosnące wzdłuż trotuaru. Musiał przejść na drugą stronę ulicy.

Serafim Grigorjewicz nie dostrzegł, poczuł tylko, że coś na niego wpadło z za-za-... Uderzyło, wstrętnie zazgrzytało...

Ocknął się po kilku minutach. Zobaczył nad sobą wiele nieznanym twarzą. Ustawione w koło, wysoko gdzieś w górze, zaglądały niby do głębokiej studni, na dnie której on leżał. Chciał im powiedzieć, żeby się odsunęły, nie przeszkadzały mu patrzeć w niebo, ale nie wiedział jak i co ma tym twarzą powiedzieć.

— Błotnikiem go tylko tracił — odezwał się męski głos. — Ale czy to starszkowi wiele trzeba...

Gdzieś w oddali zawyla syrena. Wtedy pojął dopiero: „To już koniec”. Słowa te wyrwały się w świadomości wyraźnie, jasno, bez lęku.

Wreszcie twarze rozpełzły się w bok i wtedy tuż za krawędzią drzew, bardzo blisko ujrzał koronkowy wierzchołek wieży. W tym momencie zapłonęły na niej czerwone światelka. Dwa — jedno za drugim. Nie, to nie przywidzenie, widzi je wyraźnie.

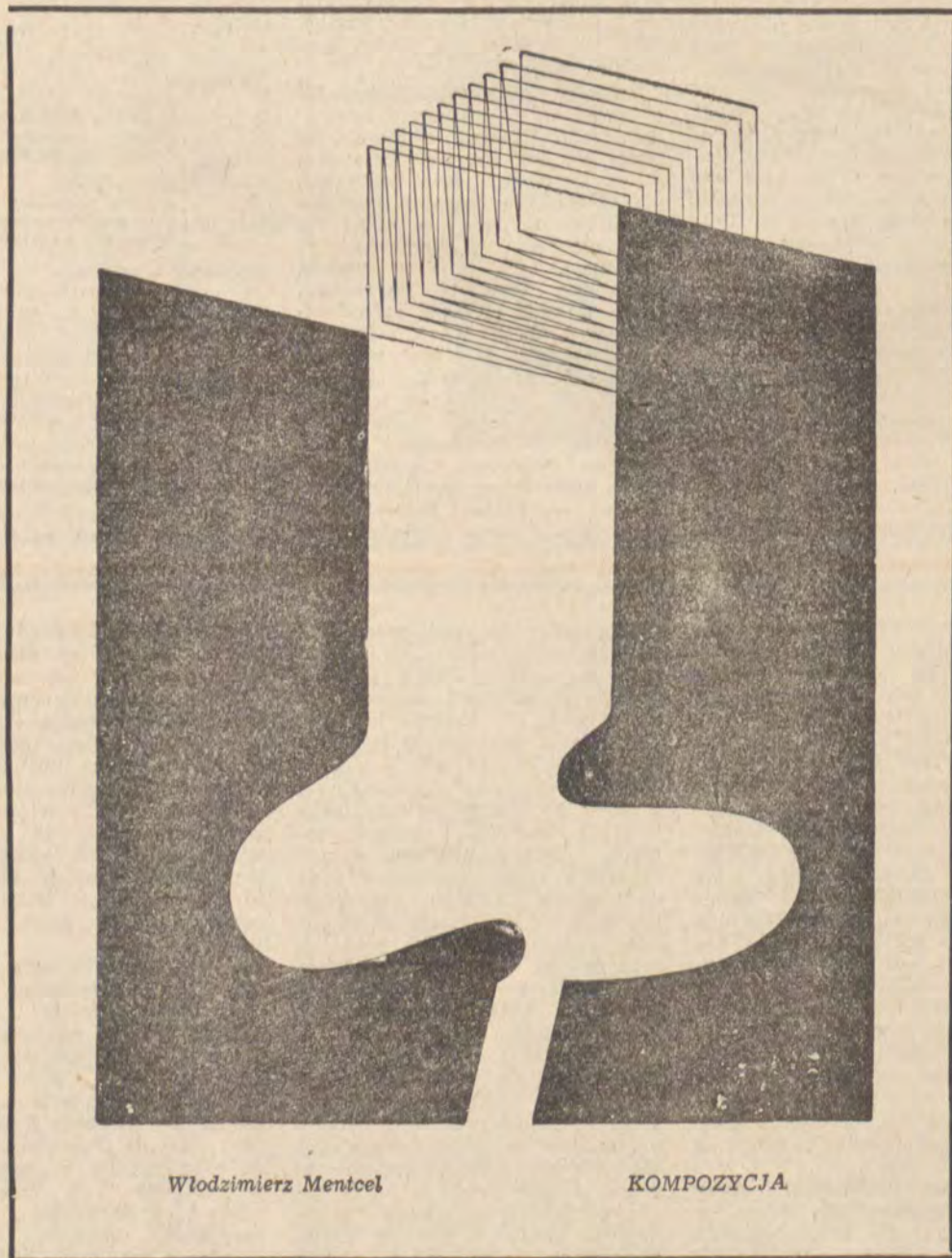
Ktoś ubrany na biało przykleknął obok i wziął go za rękę. Potem odwrócił głowę i rzucił:

— Nosze!

Gdy kładli go na noszach i nieśli do karetki, powrócił znany ból w sercu. Nie miał już siły, by z nim walczyć.

Przemienne pragnienie jeszcze raz, ostatkiem sił, odwróciło jego głowę w stronę wieży. Nic już nie widział: przed oczyma kłębiła się czerwona mgła. W gasnącej świadomości zdążyła jeszcze zabłysnąć myśl: „Ostrzegawcze światła...”

Z ROSYJSKIEGO TŁUMACZYŁA
SABINA KOCZNOWA



Włodzimierz Mentcel

KOMPOZYCJA

WITOLD PARNIEWSKI

BEDE Z WAMI KIEDY JUZ NIC NIE NAPISZE



Umilowanie własnego kraju wyniósł Władysław Broniewski z rodzinnego domu, w którym kultywowane były tradycje walk niepodległościowych (jeden z dziadków uczestniczył w powstaniu listopadowym, dwaj bracia babki — w powstaniu styczniowym). Następnym lekcji patriotyzmu udzieliło mu płockie gimnazjum, no, i wreszcie lektura. „Uczyłem się — pisze W. Broniewski w swej autobiografii od poetów polskich: Słowacki, Norwid, Mickiewicz, Romanowski — tych umiałem na pamięć od wczesnego dzieciństwa. Rusefikacji owych lat przeciwstawiłem poetycką postawę powstańców”.

Jako uczeń gimnazjum miał już W. Broniewski zastanawiająco dojrzałe, dość wyraźnie sprecyzowane poglądy na sprawy narodowe i społeczne, które — wydaje się — nie doceniają jego dotychczasowi biografowie. Wyraził je przysły poeta w piśmie szkolnym „Młodzi Idą”. Nie były to wcale — jak się zwykło określać — „ogólnikowe” sformułowania. „Lud polski jest zdrowym rdzeniem narodowego życia. Nie ma on za sobą przeszłości politycznej, ale tkwią w nim uśpione niespożyte moce, które, gdy się zbudzą, zerwą wszelkie krepujące więzy i lud sam podyktuje sobie warunki przyszłego bytu”. „Zagadnienie walki klasowej jest sprawą dotyczącą prawie każdego narodu, jest bodaj jedną z najbardziej palących jego spraw wewnętrznych”. „A czyż my możemy marzyć o jakichś gruntownych zmianach w stosunkach społecznych, czy choćby tylko ich polepszeniu, dopóki nie posiadamy samodzielności politycznej? Oto jest punkt, o który rozbijają się wszelkie szersze aspiracje polskie, punkt, przez któ-

ry jeśli nie przejdziemy, nie dojdziemy nigdy do celu”.

Lata 1922—1924 to okres bardzo wyraźnej radykalizacji poglądów Broniewskiego, na co zapewne miały wpływ wywarła znajomość z J. Hemplem, przyjaźń z S. R. Standem, a także współpraca z komunistyczną „Nową Kulturą”. Gorąca miłość ojczyzny i pragnienie naprawy doprowadziły go do szeregów ZNMS — Życie, ideowo związanego z KPRP. Równocześnie poszukiwał wówczas W. Broniewski własnej drogi poetyckiej. Pobudki patriotyczne nie pozwoliły mu zbliżyć się do futurystów. Chciał współpracować z awangardą, wysoko oceniał twórczość niektórych jej przedstawicieli, zwłaszcza J. Przybosa za związek jego poezji ze współczesną rzeczywistością polską, do współpracy jednak, którą sam proponował Peiperowi, nigdy nie doszło. Ze Skamandrytami łączył go podobny stosunek do tradycji, nie godził się jednak z ich bezprogramowością i zmiennością poglądów. Cenili niektóre wiersze J. Tuwima, ale uważał, że nie potrafił on tej — pojawiającej się od czasu do czasu — rewolucyjności „przetłumaczyć na język polski”.

W roku 1925 wydał W. Broniewski swój pierwszy zbiorek wierszy — „Wiatrak” — napisanych w latach 1922—1924, a więc w okresie poszukiwań i przewartościowania, kształtowania się poglądów ideowych i estetycznych. Pojawiły się tu wiersze, będące odbiciem doświadczeń żołnierskich, patriotycznych uniesień, ale i buntu przeciwko okrucieństwu i bezsensowi wojny, rozczarowań ideałami młodości. W tomie znalazły się także utwory, wyrażające wiarę w nadejście dnia sprawiedliwo-

ści dziejowej, którą wywalczą robotnicy.

W wierszach tego tomiku widoczne są dość wyraźne wpływy poetów obcych, zresztą przedstawicieli różnych szkół i kierunków. W poszukiwaniu wzorów sięgnął zwłaszcza do Rosjan i Francuzów. Kochał Jesienina „za jego piosienność”, za głębokie, serdeczne wnikięcie w mowę rosyjską. Fascynowali go Blok, Achmatowa, Szerszeniewicz, Rimbaud, Apollinaire. Najsilniej jednak oddziaływała nań lektura wierszy W. Majakowskiego. „Majakowski — wyznawał — najważniejszy z tych wszystkich, pokazał mi nowe zupełnie światy. Epos. Rewolucja — jej apoteoza. Kult masy. Poezja walką. Przynależność społeczna poety. Nowe formy — vers libre, łamana rytmika, rym asonansowy, potęga metafor, obrazowanie, rola intuicji w dziele sztuki, przepaść dzieląca od naturalizmu, urbanizm...”. Nie pozostał jednak W. Broniewski nigdy uczniem Majakowskiego, jak w pewnym okresie B. Jasieński, W. Wandurski, czy po wojnie „pryszczaci”. Zawdzięczał mu „ostateczne zerwanie z symboliczną starzyzną i stosunek do słowa jako do narzędzia walki”. Przyjął niektóre elementy jego poetyki, potrafił je jednak, jak żaden inny z poetów, tak wchłoniąć i tak przetopić z polską tradycją poetycką, że są niemal niewyczuwalne. Nad wszystkimi poetykami poetów obcych dominuje jego własna, niepowtarzalna „własność”.

W połowie lat dwudziestych jawi się W. Broniewski zdecydowanie jako poeta idei rewolucyjnej, bowiem ona to właśnie w przekonanlu twórcy wieść miała do naprawy Rzeczypospolitej. Zabierał

więc głos w toczącej się wówczas dyskusji o poezji proletariackiej, ale jego stanowisko różniło się zdecydowanie od poglądów innych poetów rewolucyjnej lewicy. Uważał bowiem W. Broniewski, że poezja proletariacka nie powinna być tylko hasłem bojowym, lecz przede wszystkim wskaźnikiem nastrojów i tendencji narodu polskiego.

Takim właśnie wskaźnikiem nastrojów społeczeństwa, a zwłaszcza polskiej klasy robotniczej, były następne tomy jego wierszy. W „Dymach nad miastem” wzywał robotników i młodzież do nieustępliwej i ofiarnej walki, wyrażał nastroje smutku i przygnębienia, panujące w społeczeństwie polskim tych lat. Wierzył jednak, ostatni polski romantyk, w potęgę swych słów, żądał, jak jego wielcy poprzednicy, ofiarnego czynu.

„Trochę i pieśń” — tom wierszy napisanych w latach 30-tych, zgodnie zaliczają krytycy przedwojenni i dzisiejsi do „najwspanialszych dzieł poetyckich” Broniewskiego, podkreślając, iż „Autor Trości i Pieśni pierwszy potrafił podnieść przeżycia proletariatu do rangi wielkiej poezji, ukazał obraz jego walk w wierszach zawsze żywych i wrzuszających”. Autorka tej opinii — F. Lichodziejewska — słusznie zauważa również, iż tom „Troška i pieśń” reprezentuje olbrzymie bogactwo warsztatu i możliwości twórczych. Do perfekcji doprowadzone zostały w nim wszystkie istotne cechy sztuki poetyckiej Broniewskiego: precyzja i oszczędność słowa, umiejętność operowania metaforą, porównaniem, kontrastem, oryginalnym, zindywidualizowanym językiem poetyckim, swoboda toku relacji i jedyna w swoim rodzaju prostota wypowiedzi poetyckiej”.

W obliczu narastającego z zewnątrz zagrożenia pierwszy Broniewski, poeta komunistyczny, prześladowany i więziony przez władze sanacyjne, najtrafniej odzwierciedlił nastroje narodu polskiego, pierwszy wzewał całe społeczeństwo do czynu zbrojnego w obronie Ojczyzny, znanymi z wiersza „Bagnet na broń” słowami. Postanowił, jak zawsze dotąd, walczyć nie tylko pieśnią. Ponieważ nie został powołany do wojska, prawdopodobnie ze względu na swą komunistyczną przeszłość, zgłosił się sam, jako ochotnik. Nim jednak odnalazł swój pułk, nadeszły dni ostatecznej klęski.

W. Broniewski znalazł się we Lwowie. Niezadługo padł ofiarą berio-wszczyzny. Aresztowany i osadzony w więzieniu nie poddał się nastrojowi rozpaczki i zwątpienia. Świadczy o tym prosty i piękny jego wiersz — list do córki:

„To nic, córeczko, nic, że ciężko
za ciosem spada cios:
ja jestem z tych, co zimne
męstwo
ciskają w twardej los”.

Po opuszczeniu więzienia w Alma-Ata natychmiast poszukuje Broniewski możliwości wzięcia udziału w walce z Niemcami. Marzenie jego spełnia się dopiero po upływie roku — poeta wstępuje do tworzącego się na terenie ZSRR Wojska Polskiego. Uczucia i nastroje tych dni wyraził wiersz „Zamieć”:

Może to z Kraju, od Wisły,
od Tatr
ten mroźny podmuch
tęsknoty,
gdy śniegiem syple
orenburski wiatr
nocą na polskie namioty?

Okres andersowski nie należał w życiu Broniewskiego do najłatwiejszych. Komunistę, nie ukrywającego swych poglądów, oskarżono rychło o wywrotową działalność i zmuszono do opuszczenia armii. „Obca dłoń podniosła nad Polską” rzeczywiście „nie przekreśliła rachunku krzywd”.

Twórczość emigracyjną Broniewskiego dzieli F. Lichodziejewska na dwa podstawowe okresy: „W pierwszym z nich jest Broniewski przede wszystkim poetą uczuć i przeżyć żołnierskich, w drugim przede wszystkim — poetą tęsknoty za ojczyzną i bezgranicznej nostalgii wygnania”. Utworem, który łączy w sobie nastroje charakterystyczne dla obu tych okresów jest „Droga” — wiersz nie wymagający komentarza:

„Droga wiodła z daleka,
droga wiodła przez Narwik,
do Warszawy, Lwowa i
Wilna,
do Wisły, Bugu i Narwi”.

Natychmiast po powrocie z tułaczki W. Broniewski z całą właściwą sobie żarliwością patrioty i komunisty włączył się w nurt życia odrodzonego kraju. Los nie oszczędzał go. Przeżył musiał jeszcze śmierć żony — Marii Zarebińskiej-Broniewskiej i tragiczny zgon ukochanej córki — Anki. Pozostała mu pod koniec życia jedyna ostoja — „TA CO NIE ZGINĘŁA” — i jej poświęcił swe najpiękniejsze powojenne wiersze z cyklu „Nadzieja” i „Anka”, a zwłaszcza poematy „Mazowsze” i „Wisła”.

Odpowiedź na pytanie, za co tak gorąco kochał Broniewskiego moje pokolenie, jest bardzo prosta. Za to, co jest najpiękniejsze w jego twórczości, a zarazem najtrwalsze. Była ona wówczas dla nas najlepszą szkołą patriotyzmu. Kochaliśmy te jego proste, płomienne wiersze właśnie za ich „arcypolskość”.

Wierzę głęboko, że z takim samym uczuciem podziwu i uznaniem czyta dzisiaj młode pokolenie utwory Władysława Broniewskiego, wiersze, że marzenie poety — „BEDE Z WAMI, KIEDY JUZ NIC NIE NAPISZE” — spełniło się.

Przeszłość i terażniejszość

Trzeba było nie lada odwagi, aby się podjąć napisania takiej książki. Pisanie historii obcego kraju jest połączone z niezliczonymi trudnościami z których najmniejszymi są te, które stwarza obcy język oraz konieczność zapoznania się z ogromem, zwykle niedostępnym u nas literatury przedmiotu. Nie naleźymy jak wiadomo do krajów najzamożniejszych, więc z gromadzeniem obcej literatury historycznej nie jest wciąż u nas najlepiej. A jednak Mieczysław Żywczyński pokusił się o napisanie całościowego zarysu politycznych dziejów nowożytnych Włoch, obejmującego ogromny szmat czasu, od schyłku XVIII wieku po koniec II wojny światowej. Doskonale wiedział, czego się podejmował. „Zbędne jest dodawanie — stwierdził na wstępie książki — że tego rodzaju synteza nie mogła się oprzeć wprost na źródłach, bo takiej syntezy nie jest w stanie napisać żaden historyk”. Nawet najwybitniejszy uczyony włoski. Zrobił jest bowiem nieskończenie wiele, tak, że nawet gdyby nie było najmniejszych

trudności z dotarciem do nich, nie starczyłoby życia dla samodzielnego ich przebadania, choćby tylko w części. Dlatego też historyk musiał pójść jedyną możliwą drogą, mianowicie podsumowania dotychczasowych badań oraz w oparciu o nie przedstawienia własnej rekonstrukcji procesu dziejowego, którą nazwał skromnie sumą „najważniejszych faktów z dziejów Włoch nowożytnych”.

Tradycyjną krytykę źródeł zastąpiła więc w pracy M. Żywczyńskiego, krytyka historyograficzna. Niewiele mówi się o niej w podręcznikach metodyki badania historycznego, które są zwykle wysoce nieadekwatne do aktualnego stanu nauki historycznej. Najczęściej kodyfi-

kuje się bowiem jej stan wczorajszy, jeżeli nie przedwczorajszy. A przecież ten rodzaj krytyki ma coraz większe znaczenie w pracy dzisiejszego historyka, który pragnąc obejmować coraz większe całości częściej ma do czynienia z masą szczegółowej, nieraz przyręczarskiej, ale zawsze potrzebnej literatury naukowej, niż z

łóściowych, integralnych, jest dziś szczególnie silnie reprezentowane w nauce historycznej zarówno tej, która czepnie teoretyczne i metodologiczne inspiracje z marksizmu, jak i w historiografii burżuazyjnej, zwrócenie uwagi na problematykę krytyki historyograficznej i wypracowywanie jej precyzyjnych metod, staje się

cy źródłowej — zabieg M. Żywczyńskiego, kiedy dokonuje on historyograficznej krytyki dziejopisarstwa, omawiającego historię Włoch w czasach nowożytnych. Te strony książki są niezmiernie instruktywne także dla historyka, któremu we własnym naukowym warsztacie nie będzie dane zapoznać się bliżej ze sprawami włoskimi.

Minęły czasy, kiedy historykom zdawało się, że mogą i powinni unikać w swych pracach wypowiedziania sądów. Zdają dziś oni sobie sprawę z tego, że nie dają się im uniknąć i że nie stonowi to niedostatku, lecz przeciwnie, wielki przywilej ich naukowej dyscypliny. Jednakowoż wydawanie sądów w historii nie jest łatwe, zaś aby miały one jakąkolwiek naukową wartość, winny być oparte o możliwość najdokładniejsze rozumienie badanego przedmiotu. Stąd silny akcent na owo rozumienie we współczesnej metodologii historii. Jest ono szczególnie trudne, kiedy uczyony staje przed dziejami obcego kraju, siłą rzeczy trudniejszymi do pełnego zrozumienia, niż własne. Ma jednak prawo do wypowiedziania własnych sądów, chociaż — jak podkre-

HISTORIA NOWOŻYTNICH WŁOCH

bezpośrednim oglądem źródeł. Jeden z naszych najwybitniejszych znawców dziejów najnowszych, autor wielu prac o dziejach hitlerowskich Niemiec, prowokuje swych kolegów gdy powiada, że noga jego nie stanie więcej w archiwum, bowiem nie starczy mu życia na zapoznanie się choćby tylko z najważniejszymi publikacjami, jakie ukazują się we wszystkich krajach świata na tematy II wojny światowej.

Skoro dążenie do ujęć ca-

sprawą palącą. Z tym większym zainteresowaniem polski czytelnik, dla którego dzieje Włoch stanowią mimo wszystko dziedzinę niezbyt znaną, choć może nie całkiem już egzotyczną, choćby ze względu na rozliczne więzy łączące nas z tym krajem i polskie historyczne zainteresowania zagadnieniami włoskimi, tak silne jeszcze w okresie międzywojennym, śledzić będzie badawcze — celowo używam tego słowa, bowiem badanie historyczne nie polega wyłącznie na pra-

ła to M. Żywczyński — „patrzy nieco inaczej na dzieje opisywanego przez siebie narodu, choćby miał największy dla niego sentyment, jak autor tej książki dla narodu włoskiego”. Ten sentyment, którego uczony nie ukrywa, pozwala mu na lepsze zrozumienie opisywanych problemów i umożliwia dojrzałą wyrozumiałość jego sądów.

Będzie rzeczą specjalistów poddanie tej książki wszechstronnej krytyce. Czytelnik dojrzy w niej wysokie walory dziejopisarstwa polskiego uczonego, który wyszedł ze znakomitej szkoły Marcelego Handelsmana, godnie kontynuującego tradycję polskich badań nad historią powszechną. W kolekcji historyj innych krajów, wydawanej przez Redakcję Historii Państwowego Wydawnictwa Naukowego, zajmuje ona miejsce wybitne, tym bardziej, że jest wciąż jedną z nielicznych (obok „Dziejów Rosji” L. Bazylowa) tego rodzaju syntez, które wyszły spod pióra polskiego, współczesnego historyka.

JÓZEF GRZELAK

*) M. Żywczyński, Włochy Nowożytne 1796 — 1915, Warszawa, PWN, 1971, stron 362.

WALDEMAR MICHOWICZ

Miejsce Polski w świecie w latach 1944-1947

Kolejną książkę Włodzimierza T. Kowalskiego, która ukazała się niedawno na rynku księgarskim można polecić tym wszystkim, którzy interesują się historią, dyplomacją i polityką. Autor, wybitny znawca historii dyplomatycznej okresu II wojny światowej i okresu najnowszej wprowadzającą czytelnika w świat skomplikowanych procesów politycznych, jakie zachodziły na przełomie okresu wojny i pokoju. Czynniki to w sposób bardzo kompetentny i komunikatywny, dając zarazem dowód, że można pisać o niedawnej przeszłości obiektywnie, bez czekania na jakiś dłuższy dystans od opisywanych wydarzeń. Bogactwo faktów, opisywanych zjawisk nie zaciemnia jasności obrazu powojennego świata. Autor przeprowadza odpowiednią selekcję materiału. Małuje obraz barwny, soczysty, a czyni to z pasją zarówno odkrywcy, jak i wykładawcy, któremu zależy, aby śledzić tok nie tylko wykładu, ale również zachować odpowiedni dystans na dojrzałą i odpowiedzialną refleksję.

W monografii W. T. Kowalskiego można wyróżnić kilka wątków, które zresztą często splatają się ze sobą, ale podporządkowane są naczelnemu założeniu książki: przedstawieniu dróg konsekwentnej realizacji przez polską dyplomację głównego celu, jakim było w owe lata ustabilizowanie i zapewnienie właściwego rozwoju Polski Ludowej w warunkach stałego pokoju i bezpieczeństwa w Europie o porządku określonym decyzjami poczdamskimi.

W omawianym okresie maksimum uwagi ze strony polskiej ogniskował problem niemiecki. Nie też dziwnego, że autor rozwija go w kilku płaszczyznach. Traktując o kwestii powojennych granic Niemiec na Wschodzie, o systemie polityczno-społecznym w poszczególnych strefach okupacyjnych, zasadniczo jednemu Niemiec, ich gospodarkę itp. w szerokim kontekście wielkiej polityki, W. T. Kowalski eksponuje dbałość polskiej dyplomacji o konsekwentną realizację wszystkich uchwał poczdamskich.

Zrozumiałe, że poważna część pracy poświęcona jest omówieniu stosunków polsko-radzieckich. Wynika to z ich priorytetowego charakteru dla Polski Ludowej. Wniosek taki wypływa z

przyciżanego przez autora opisu kontaktów handlowych i politycznych między Polską a ZSRR od momentu powołania do życia PKWN. Obie strony przedstawione zostały jako szczerze i solidarnie współpracujące na arenie międzynarodowej, z tym że ze strony polskiej osiągała większe awanturnictwo z racji radzieckiego poparcia dla koncepcji granic na Odrze i Nysie Łużyckiej, pomocy gospodarczej oraz związania się z ZSRR układem o przyjaźni, pomocy i współpracy z 21. IV. 1945 r. W. T. Kowalski stara się odcisnąć od schematycznych dotąd ujęć stosunków ze Związkiem Radzieckim. Pokazuje także problemy sporne między Polską a ZSRR. Zwraca uwagę na dbałość polskiej dyplomacji o to, aby na arenie międzynarodowej nie identyfikowano polityki polskiej z radziecką a traktowano Polskę jako samodzielny czynnik polityczny w myśli oświadczenia ministra Z. Modzelewskiego wobec E. Beryna w lutym 1946 r., że „Przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, będąca jedną z pozycji zasadniczych polityki polskiej, nie wyklucza naszej samodzielnej polityki i naszego własnego zdania w szeregach sprawach”.

Sposób przedstawienia całokształtu stosunków polsko-radzieckich sprawia, że czytelnik ani przez chwilę nie może mieć wątpliwości, że Polskę i ZSRR łączy więź przyjaźelskiej współpracy i zupełnie nowy typ stosunków w porównaniu z okresem przed II wojną światową.

Ten przyjazny charakter stosunków polsko-radzieckich rysuje się szczególnie wyraźnie na tle diametralnie odmiennych kontaktów polsko-brytyjskich i polsko-amerykańskich. Odwrót brytyjskiej dyplomacji od ustaleń poczdamskich, obrona Niemców i schlebienie im, zamrożenie zapasów polskiego złota, torpedowanie sprawy powrotu polskich oddziałów wojskowych do kraju, przetargi w sprawie długów wojennych, poparcie dla opozycji antydemokratycznej w okresie wyborów do Sejmu, głęboko nieprzyjazne Polsce wystąpienie W. Churchill'a w Fulton 5. III. 1946 r. itp. — oto główne zarysy stanowiska W. Brytanii wobec Polski Ludowej.

Podobny charakter — choć nie tak

ostry — miały także amerykańskie posunięcia w stosunku do Warszawy. Sprobowano się one do serjynnych prób narzucania Polsce politycznych warunków za pomocą gospodarczo do utrudniania dostaw z UNRRA, popierania S. Mikołajczyka i jego stronnictwa oraz do kwestionowania legalności wyborów do Sejmu w 1947 r. Szczególnie przykro odczuła polska opinia publiczna wypowiedź sekretarza stanu, J. Byrnesa z 6. IX. 1946 r., kwestionującą poczdamską decyzję w sprawie granic na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Niemal sympatycznie przedstawia W. T. Kowalski stanowisko Francji do Polski. Nie tylko eksponuje fakt, że Paryż pierwszy nawiązał kontakty z PKWN, a potem uznał Rząd Jedności Narodowej, ale na przykładzie akceptowania granicy zachodniej Polski, odmiennej od anglosaskiej polityki wobec Niemców i Niemiec, zbliżenie poglądów na problem bezpieczeństwa w Europie, kwestii odeszkodowania, tzw. sprawy hiszpańskiej itd., wyrażają kształtowanie się w latach 1944-1947 korzystnego klimatu dla ścisłej współpracy między Polską a Francją.

W latach 1946-1947 wiele uwagi dyplomacja polska poświęcała także ONZ. Wynikało to nie tylko z faktu, że Polska była członkiem Rady Bezpieczeństwa, ale również z przekonania, że organizacja ta zdolna jest zagwarantować pokój oraz możliwość swobodnego rozwoju każdemu krajowi. W kwietniu 1946 r. na forum Rady Bezpieczeństwa wystąpiła z inicjatywą zerwania przez wszystkie państwa członkowskie ONZ stosunków dyplomatycznych z frankistowską Hiszpanią. Wielomiesięczna dyskusja w sprawie hiszpańskiej zakończyła się przyjęciem przez Zgromadzenie Ogólne ONZ 12. XII. 1946 r. rezolucji wywołującej wszystkich członków do odwołania z Madrytu swoich przedstawicieli dyplomatycznych.

Aktywność polskiej dyplomacji w latach 1946-1947 na arenie międzynarodowej przejawiała się także w konstruktywnych propozycjach na konferencji pokojowej w Paryżu w 1946 r.

Realizacja linii politycznej bloku demokratycznego w polskiej polityce zagranicznej spadała na barki odpowiedzialnych ludzi. Pokazuje ich W. T. Kowalski w konkretnym działaniu. B. Bierut, E. Osóbka-Morawski, W. Rzymowski, Z. Modzelewski, O. Lange, S. Wierbiowski, J. Winiewicz są najczęściej wymieniani przez autora. Strzeże się jednak przy tym autor przed wartościowaniem ich zasług, obdarzaniem laurkami lub naganianiem.

W. T. Kowalski przerywa swój wykład w momencie ogłoszenia przez prezydenta H. Trumana 12. III. 1947 roku nowej misji dziewięciu Stanów Zjednoczonych, która miała się sprowadzać do udzielenia pomocy każdemu krajowi zagrożonemu przez rewolucję komunistyczną od wewnątrz lub z zewnątrz.

Sądzę, że można książkę W. T. Kowalskiego zakwalifikować do optymistycznego nurtu naszej historiografii. Wykazuje ona, jak w najcięższym okresie swego bytu Polska znalazła wystarczająco dużo siły, aby odrodzić się w nowej formie ustrojowej i stać się poważnym czynnikiem kształtującym oblicze powojennej Europy i w pewnym sensie także świata.

*) Włodzimierz T. Kowalski, *Polityka zagraniczna RP 1944-1947*, Książka i Wiedza 1971, ss. XIV, 415.

POLONICA

FILOPOLSKA KSIĄŻKA FRANCUSKA

Wielkim powodzeniem cieszy się we Francji raz po raz wznawiana, piękna książka generała Guillaína de Benouville „Oficera o świecie”, opowiadająca historię narodził i działania francuskiego Ruchu Oporu. Autor był uczestnikiem kampanii majowej 1940 roku. Wzięty do niewoli dwukrotnie uciekał, dostał się do strefy nieokupowanej, próbował wraz z towarzyszymi przedrzeć się do sił zbrojnych, organizowanych przez gen. de Gaulle'a, przeszedł w więzieniu, a następnie współorganizował Resistance. Wielokrotnie wspomina z sympatią i podziwem polskich żołnierzy, mówi o kontaktach nawiązanych przez jego przyjaciół z patriotami naszymi, walczącymi przeciw Hitlerowi i rządowi Vichy. Tytuł książki nawiązuje do faktu, że młodzież, tworząca we Francji ruch konspiracyjny, poświęcała swe rozpoczętą dopiero życie i składała ofiarę „o świecie” swej egzystencji.

W. N.

POLAK LAUREATEM W SŁOWACJI

W konkursie na sztukę teatralną dla dzieci, rozpisany w Słowacji, jedyną z trzech równorzędnych nagród otrzymał polski poeta z Czeskiego Cieszyna — Wilhelm Przeczek. Jego sztuka „Falszywy brylant” znalazła się w konkursie w przekładzie na język słowacki.

Warto nadmienić, że W. Przeczek jest współpracownikiem polskiej prasy; ukazującej się w Czeskosłowacji, a w harcerskim (pionierskim) piśmie „Nasza Gazetka” ma swoją stałą rubrykę.

NOWOŚCI POLSKIE W „PROFILU”

W edycji polskiej, ukazującej się w ostrawskim wydawnictwie Profil (Czechosłowacja), pojawiają się dwie oczekiwane pozycje. Pod redakcją Roberta Daniela ukazuje się piśmiernie wydanie opowiadań Pawła Kubiszki pt. „Zaszewierzony świat” oraz drugi tom cenionej także w Polsce monografii folklorystycznej „Płyniesz Oko”.

Należy przypomnieć, że swoje wrażenia i spostrzeżenia opisał i wydrukował

sz „Przednówek” ukazał się po wojnie w Łodzi.

BIULETYN STRZECHY

Kilka ciekawych materiałów z Polski przynosi ostatni numer biuletynu wiedeńskiej Strzechy. Obok sprawozdania z uroczystości 25-lecia Towarzystwa Austriacko-Polskiego, artykułu o cieszyńskim Klubie Propozycji (pióra Wł. Oszełdy), wiadomości kulturalnych z Polski — Leon Turkiewicz publikuje nieznaną tłumaczenie „Kolejdy Kaszubskiej” Wernera Bergengruena, dokonane przed laty przez Jerzego Leca. Wiersz jest opatrzone w ciekawy komentarz. Siedząc przeszło sto numerów Biuletynu Strzechy łatwo można zauważyć, iż pismo to z numeru na numer staje się ciekawsze i coraz częściej zamieszcza interesujące materiały literackie.

(er)

„SONNTAG” O NORWIDZIE

W tygodniku berlińskim (NRD) „Sonntag” ukazał się obszerny artykuł Aloisa Hermanna pt. „Norwid — der unbekannte Dichter” (Norwid — poeta nieznanego), ozdobiony fotografią poety i jego dwoma rysunkami. Autor artykułu przedstawia sylwetkę Norwida, koleje jego literackich dzieł, zainteresowanie jego poezją w Polsce i za granicą. Alois Hermann przytacza słowa poety niemieckiego, Richarda Dehmel'a, który 9 grudnia 1907 roku pisał w liście do Jean Paula o Norwidzie: „Był on w każdym słowie tak doskonałym, że nawet ci, co go ganił, musieli go kochać”.

(er)

W. N.

REPORTAŻ O POLSCE

Dziennik „Frankfurter Rundschau” wydał specjalny, 8-stronicowy dodatek, ilustrowany dużym formatem, poświęcony Polsce. Jest to reportaż redaktora naczelnego tego dziennika Karla Gerolda, który odbył podróż po Polsce, przebywając w Warszawie, Wrocławiu, Oświęcimiu, Krakowie i Łodzi, a następnie w swoim wrażeniu i spostrzeżeniu opisał i wydrukował

Ponieważ Karl Gerold jest również poetą, pobyt w Polsce natchnął go do napisania paru wierszy (jeden z nich pt. „Warszawa” drukowaliśmy w świątecznym numerze „Odgłosów”). Dodatek „Frankfurter Rundschau”, zawierający liczne zdjęcia, również kolorowe, wykonane przez autora, przedstawia się imponująco. Tekst pióra Gerolda, pełen zrozumienia i życzliwości dla dziejów naszego kraju, podkreśla dynamiczne tempo życia w polskich miastach oraz rolę odbudowy i dążenie do pokoju ludności polskiej.

jk.

AUSTRIACKA NAGRODA DLA DOMAGALIKA

Ostatnio ukazało się w Austrii tłumaczenie powieści Janusza Domagalika „Koniec wakacji”. Przetłóczył ją Oskar Jan Tauschinski. W jego przekładzie polska książka otrzymała austriacką państwową nagrodę książki młodzieżowej 1971. Jest to duży sukces J. Domagalika, popularnego pisarza młodzieżowego.

Godny podkreślenia jest fakt, że Austria często nagradza autorów polskich (np. Herbert) lub piszących o Polsce (Tauschinski, jako autor powieści o M. Curie-Skłodowskiej i autor wyboru baśni polskich).

(er)

ODCZYTY PROF. ZDZISŁAWA STIEBERA

Znakomity językoznawca polski, prof. Zdzisław Stieber, wygłosił pięć odczytów na różnych uniwersytetach paryskich na temat problemu przewidywania zmian językowych oraz pochodzenia polskości i go języka literackiego.

SKOLIMOWSKI W PARYŻU

W Paryżu zorganizowano tydzień filmowy, poświęcony dziełom naszego rodaka, Jerzego Skolimowskiego. Kinomateka francuska przypomniała film Skolimowskiego „Przygody Gerarda”, zaprezentowały i skomentowały przez autora. W Pałacu Chaillot wystawiono najnowszy film Skolimowskiego „Deep End”.

W. N.

POLONICA

LISTY DO REDAKCJI

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Z okazji walnego Zjazdu ZLP w Łodzi wydano „Biuletyn informacyjny”. W artykule o łódzkim środowisku pisarskim i

życiu literackim, jeśli chodzi o czasopiśmiennictwo — wymieniono: „Łódź literacką”, „Kronikę”, „Odgłosy”.

„Łódź literackiej” ukazały się cztery numery o łącznej objętości ok. 50 stron. Pominęto natomiast „Osnowę” (zapożyczoną przez M. Piechała) o łącznej objętości ok. 3000 stron. Pominęto cykliczne zeszyty „Rzeczy poetyckiej” (ukazującej się od 1958 roku, zapoczątkowanej przez nieodżałowanego pamięci Stanisława Czernika). „Rzecz poetycka”, podobnie jak i „Osnowa”, skupiała liczne pióra miejscowe jak i z całej Polski, stanowiła na długo przed miesięcznikiem „Poezja” intere-

sującą propozycję pisma poetyckiego.

Ignorancja? Zła wola? Zawód na pamięć? Fakt ten jest tym bardziej przykry, iż „Biuletyn” ukazał się pod firmą wydziału kultury PRN m. Łodzi i oddziału łódzkiego ZLP.

Na marginesie zaś nasuwa się gorzka refleksja: jak łatwo w naszym mieście marnuje się pozytywne inicjatywy literacko-artystyczne, nie dbając o jakąkolwiek ciągłość, bez której nie może być mowy o prawidłowym i autentycznym rozwoju łódzkiego życia kulturalnego.

Z wyrazami poważania: (Jan Huszcza)

T. II. 1972.

JAN HUSZCZA

Butelka czystej, śledź, woda sodowa

Od jakiegoś czasu zaczęli mną się interesować. Kiedy siedzę na ławeczce w parku, to bywa, że podchodzi do mnie sam generał. Właściwie to już nie generał, ale też emeryt, chociaż w mundurze.

„Dzień dobry, panie Heniu!” Mam siedemdziesiąt lat, a dla nich to ja „panie Heniu”, chyba żaden z nich nazwiska mego nie zna. I przysiadła się jak gdyby nigdy nic. Wspominamy „Kometę”. Czynną, ale co z tego. Zwyczajnie dania, zwyczajna wódka. Dla wszystkich to samo. Dawniej to tajemnicą fachu było: do każdego inne podejście. Teraz tego nie ma. Nie tylko w restauracjach. „Jak tam ze zdrowiem?” Domyślam się, o co generałowi chodzi. Kie-

dyś, w „Komecie”, odpowiedzialnym tylko „dziękuję, dobrze”, ale teraz odpowiadam inaczej. Żeby generałowi zrobić przyjemność, narzekam na swoje zdrowie więcej niż trzeba po sprawiedliwości. Wątroba. Żle się śpi. Coś koło serca nad ranem, jakby karaluch wokoło niego laził. „A reumatyzm?” Oj, i reumatyzm łupie. A generał niby się martwi, ale niezupełnie, bo z jego zdrowiem gorzej niż z moim.

Coraz mniej między nami różnic. Największa, to w emeryturze. Gdybym miał jego emeryturę, to ho ho! Zresztą, przesiadując na ławeczkach, czasem coś wykombinuję. Jak się tyle lat było barmanem w „Komecie”, to zostało oko na ludzi. Usią-

dzie ładna dziewczyna czy kobietka, żeby poprawić sobie twarz, a ja poznaję jej psychologię. Pani tak sama? „Sama.” Bez miłości ciężko chyba żyć? „Co za dyrdymaly!” Wtedy ja, że też znam takiego, co sam i bez miłości ciężko mu żyć. „Jak panu nie wstyd?” Nie, nie, ja nie o sobie mówię!

— Nadziany forsą?
— Nadziany...
— To jutro o tej samej porze na tej ławeczce...

Teraz to inne zwyczaje. Proste. Bez ładnych słów. Jeszcze w pierwszych latach po wojnie było inaczej. „Nigdy bym tego nie zrobiła, ale niech mnie pan zrozumie: mamusia chora, wszystko poszło na leczenie...” Czasem była mamusia, czasem chora siostrzyczka. Raz jedna rozplakała się. Zrozumiałem, że mówi prawdę. Dalem jej trochę pieniędzy. Jak się okazało, nawet nie na wieczne nieoddanie.

Ale, ale... Otóż powiedziałem, że od jakiegoś czasu różni zaczęli mną się interesować. Nic dziwnego, „Kometą” to był dobry lokal. Niby taki zwyczajny, ale goście w nim się czuli. Zaczęłam w nim pracować jeszcze przed wojną. Potem był obóz, po wojnie odnalazł się właściciel, odnalazłem się ja, na nowo urządził „Kometę”, choć z całego lokalu ocalała tylko podłoga i ubikacja. Pojawili się nowi klienci, bo z dawnych mało kto został wśród żywych, i znowu „Kometą” zaczęła prosperować. Zostałem barmanem, panem Heniem.

Zawsze miałem kilku nastu dobrych, starych klientów. I o niektórych, przeważnie takich, co zdążyli umrzeć, teraz mnie różni wypytują. Najpierw myślałem, że to jakieś śledztwo, ale nie!

Bywał pan profesor. Teraz wyszło na jaw, że jakieś kiedyś lekarstwo wymyślił. I w ogóle był niezwykłym człowiekiem, chociaż po prawdzie korzyści z niego „Kometą” miała niewiele.

Z moim generałem przychodzili tacy, o których pisze się w wojennych książkach, nie mówiąc już o samym generał.

Ha! A ten aktor, co się zapili, gwiazda! A ta pani w białej sukience: okazało się, że piosenki tak śpiewała, że jeszcze i teraz płyty z jej głosem mają swoją cenę.

A taki jeden młody człowiek, co wyglądał na głodomora, podobno wiedział wszystko o małpach. Małpa go też w Afryce tak pogryzła, że wściecnie przeniósł się do wieczności.

Najwięcej szanowaliśmy pana Prezesa! Zjawiał się co tydzień. Zajmował największy gabinet, bo przeważnie przychodził w towarzystwie dwóch pań. Do obsługi posyłałmy Władzia, bo był dyskretny. Nasz zawód to trochę jak księżda. Wiele słyszy, siedząc w konfesonale, ale nie nie opowie. Tajemnica zawodowa. A w gabinecie bywały czasem takie piski, że starczyłoby tego na trzy pary! Pan prezes i jego przyjaciółki, Władzio czasem mnie coś opowiedział, wiedział, komu opowiada, rozbił się do naga. Inna rzecz, że bywało tam

Listy do redakcji

W nawiazaniu do artykulu pt. „Wróg powiatowy nr 1” Dyrekcja Instytutu Uprawy Nawożenia i Gleboznawstwa w Puławach, jako jednostka nadzorcza nad Zakładem Doświadczalnym ZD UNG Topola — Błonie po ukazaniu się w artykule przeprowadziła kontrolę specjalną w dniach 2 i 3, 12, 1971 roku.

1. Stwierdzono, że mgr inż. Mieczysław Rykała został zatrudniony z dniem 15. VI. 1969 na stanowisku st. zootechnika w Zakładzie Doświadczalnym. Jako st. zootechnik wykonywał również czynności insyniatora byłą na podstawie zezwolenia Dyrekcji Zakładu.

W tym okresie Dyrekcja Zakładu i jego gl. księgowy, wnosili szereg zastrzeżeń odnosnie prowadzenia dokumentacji podstawowej, koniecznej zarówno ze wskazań hodowlanych w obszarze zarodkowy jak i przeklasowań potrzebnych do zamknięcia finansowych. Określony został staly zakres czynności i obowiązków zootechnika obejmujący cały obieg dokumentacji.

Przyjęcie podpisem do wykonania określonych w tym zakresie czynności nie spowodowało poprawy w jakości i ter-

minowosci w sporządzaniu obowiązującej dokumentacji przez wymienionego. Niedokładności w tym zakresie nie zostały usunięte, powodowały interwencje gl. księgowego, a w konsekwencji dalsze zatargi.

W tych okolicznościach dyrekcja zakładu doszła do wniosku, że stanowisko st. zootechnika jest ekonomicznie nieuzasadnione; wniosek o silkwidowaniu etatu zootechnika został uzgodniony z samorządem robotniczym.

W miejsce etatu umysłowego postanowiono zatrudnić z dn. 1. VII. 1971 r. brigadystę oborowego, obecnego insyniatora.

W tej sytuacji Dyrekcja Zakładu wypowiedziała w dniu 31. III. 1971 r. mgr inż. M. Rykała warunki pracy i placę.

Natomiast prawdą jest, że wymieniony prosił Dyrektora Zakładu o zatrudnienie Go na stanowisku pracownika fizycznego, ale Dyrektor Zakładu nie wyraził na to zgody.

2. Przypadek kradzieży śmietany przez st. oborowego Szulę Kazimierza stwierdzony przez mgr inż. M. Rykała był znany Dyrektorowi Zakładu. Sprawca tego czynu został ukarany w trybie administracyjnym w dniu 2. II. 1970 r. naganą z ostrzeżeniem i przeniesiony do prac brigady polowej, a śmietana została prze-

kazana do zbadania oraz odstawiona odpłatnie do mleczarń. Innych przypadków kradzieży Dyrekcja nie stwierdziła.

3. Fakt dwukrotnego ścięcia mleka do kanału ściękowego był znany Dyrekcji Zakładu. Po raz pierwszy spowodowane to było uszkodzeniem uszczelnki przy kranie spustowym zbiornika, a w drugim przypadku pracownicy prowadzący udój mleka przez zapomnienie nie zamknęli kranu spustowego. Dyrekcja Zakładu nie przeprowadziła postępowania wyjaśniającego, nie ustaliła wielkości szkody i nie spowodowała wyrównania jej przez pracownikow winnych tego zaniechania.

Zwrócono im usną uwagę na przyszłość bez wyciągnięcia dalszych konsekwencji służbowych i materialnych. Wielokrotnego ścięcia mleka do rynsztoka nie stwierdzono.

4. Postawiony przez mgr inż. M. Rykała zarzut celowej zamiany byczków na cielczki lub odwrotnie nie znajduje potwierdzenia w istniejącej dokumentacji hodowlanej.

5. Dyrekcja ZD UNG Topola — Błonie w czerwcu 1968 r. sprzedała Centrali Nasiennej w Łodzi poprzez Gmlinę Spół-

podmiędzy ZD UNG Topola — Błonie, a Zarządem Głównym Związku Plantatorów Roślin Oleistych i Centrali Nasiennej w Łodzi.

Powołana w przedmiotowej sprawie dwustronna Komisja przez Wydział Rolnictwa i Leśnictwa Prez. PRL w Poddębicy, w grudniu 1968 r. przy współdziałaniu rzeczoznawców Dyrekcji IUNG — Warszawa, ostatecznie ustaliła, że skutki materialne powstałe u rolników plantatorów zostały spowodowane przez ZD UNG Topola — Błonie, jako producenta materiału siewnego. Komisja ta ustaliła równocześnie wysokość odszkodowań indywidualnych rolników na ogólną sumę 389,264 zł. Kwoty te zostały przez Zakład Topola — Błonie wypłacone za pośrednictwem Kas Spółdzielczych i poszkodowani rolnicy z tytułu strat dalszych roszczeń nie wnoszą.

W czasie kontroli stwierdzono zostało zaprawienie rzepaku olejem rzepakowym w ilości 17 kg, o którym nie wiedział Dyrektor Zakładu wcześniej, a został powiadomiony przez b. kierownika po dokonaniu zaprawienia. Winę za ten stan ponosi Dyrekcja Zakładu, ponieważ nie wyciągnęła wniosków administracyjnych i służbowych w stosunku do kierownika gospodarstwa, jak również nie powiadomiła o tym fakcie nabywców, co mogło wprowadzić w błąd przy organoleptycznym ocenie nasion, aczkolwiek istotnego znaczenia ten zabieg nie powodował.

6. Po szczegółowym zbadaniu dokumentów księgowych i techniczno-gospodarczych oraz przeprowadzeniu postępowania wyjaśniającego w formie rozmów z pracownikami ZD UNG

za je za ostatecznie załatwione.

Jednocześnie informuje, że udzielone zostały wyjaśnienia Komisji Wojewódzkiej w Łodzi, powołanej przez Przewodniczącego Prez. Wojewódzkiej Rady Narodowej w dniu 3. 12. 1971 r., a w stosunku do Dyrektora i Gl. Księgowego Zakładu zastosowane zostało postępowanie administracyjno-służbowe (udzielona została na piśmie nagana z wpisaniem do akt osobowych).

Wicedyrektor
MGR INŻ. L. HOLNICKI

O DPowiedz dyrekcji IUNG w Puławach jest dość znamieną i charakterystyczną. Formalnie wszystko w porządku, domagała się prasa reakcji na krytykę, to ją ma. Pomijając żargon administracyjny, jakim ta rzecz jest napisana, jednakże z merytorycznych względów nie można przejść nad nią do porządku dziennego. Szkoda mi miejsca i czasu, ażeby punkt po punkcie wykazywać powierchowość tego dokumentu, zajmę się tylko sprawą owego rzepaku.

A więc kontrola potwierdziła, że rzepak zaprawiono olejem, ale „istotnego znaczenia ten zabieg nie powodował”. Można by to stwierdzenie z czystym

zakład doświadczalny w Bioniu dzięki manipulacjom otrzymał nie po 800 złotych za 1 kwintal, a po 1200, „zarabiając” w ten sposób dodatkowo 80.000 złotych. Ale któż obliczy straty, jakie poniosła z tego powodu gospodarka narodowa? Przecież ponad 1000 ha ziemi ugorowało przez kilka miesięcy.

Dyrekcja IUNG w Puławach uważa, że wyjaśnienie przesłane pod adresem naszej redakcji ostatecznie załatwia sprawę. Można i tak. Panienska, która pobierała pierwsze próbki do badania straciła nieoczekiwanie pamięć, więc sytuacja jest dość wygodna. Władysław Kałużny, były pracownik, który ziarno do badania dobierał, pamięć ma dobrą, ale może się okazać niepożyczalną.

O mleku wprawdzie w swoim repertożu nie wspominałem, lecz jeśli dyrekcja IUNG uważa za stosowne i ten temat poruszyć, to dodam, że mgr M. Rykała, oświadcza, iż sam ośmiokrotnie zetknął się z przypadkiem wylewania mleka do gnojówki. Zresztą człowiek ten rzeczywiście zbyt dużo widział i wiedział, więc musiał odejść. Zarzut wobec niego jest dość frapujący: nie sporządził terminowo obowiązującej dokumentacji. Wniosek: „W tych okolicznościach dyrekcja Zakładu doszła do wniosku, że stanowisko st. zootechnika jest ekonomicznie nieuzasadnione”. I to wszystko, koniec, kropka. Na temat produkcji zwierzęcej ani słowa. Klóci się to nieco z opinią inspektora Ministerstwa Rolnictwa, który w dniach 3 i 4 maja 1970 roku przeprowadził ocenę stanu hodowli i chowu bydła:

„Ogólnie oceniam stan hodowli zwierząt b. wysoko, a szczególnie prawidłowe żywienie, wyśmienita plodność, dobrze prowadzona dokumentacja i wnioskuje o przyznanie mgr Mieczysławowi Rykała nagrody za dobrą pracę.”

mgr Jerzy Ziolkowski

Ponieważ Rykała pełnił również przez pewien czas funkcję inseminatora, zobaczymy, jaką ocenę wystawił mu Zakład Unasienienia Zwierząt w Łowiczu:

„Z nałożonych obowiązków wywiązywał się wzorowo. Prowadzenie punktu w zakresie merytorycznym jak i finansowym nie budziło żadnych zastrzeżeń.”

DYREKTOR
mgr inż. L. GOŹDZIKIEWICZ

* * *

Smutna i przykra jest ta cała historia, i wyobrażam sobie, że wiele osób chciałoby ją mieć już „z głowy”. Myślę, że najbardziej kompetentnym organem do wyjaśnienia całej tej sprawy jest Prokuratura Powiatowa w Łęczycy, która prowadzi dochodzenie.

KAROL BADZIAK

„Wróg powiatowy nr 1” — po raz drugi

Topola — Błonie, nie stwierdzając przypadki kradzieży lub zagarnięcia nasion traw i siana.

W okresie od 1969 r. Zakład zakupował w niewielkich ilościach nasioną traw. Zaszłości te były należycie udokumentowane odpowiednimi dokumentami przyjęcia do magazynu.

Wydawanie nasion tych z magazynu było również właściwie i należycie udokumentowane, wydawanie następowo partiami na ściśle określony areal z przeznaczeniem tylko na potrzeby Zakładu.

Magazynier Zakładu stwierdził kategorycznie, że poza deputatami żadnych nasion traw lub siana z luerny nie wydał żadnym pracownikom, a szczególnie gl. księgowemu, Tadeuszowi Górze. Gl. Księgowy, T. Góra posiada 1,87 ha sadu i łąki. Jak wynika z uzyskanych informacji T. Góra, Gl. Księgowy Zakładu sprzedawał siano łakowe z własnego gospodarstwa miejscowym rolnikom po silkwidowaniu od 1963 roku własnej krowy.

Nabywcy siana przyjeżdżali do wagi, znajdującej się na terenie Zakładu, co mogło nasunąć podejrzenia sprzedaży siana zakładowego.

Przesyłając wyjaśnienia do poszczególnych w artykule zagadnień, Dyrekcja IUNG uwa-

żadnie „Samopomocy Chłopskiej” 20 ton rzepaku ozimego nasiennego. W dniach 24—28 maja 1968 r. Urzędowy Próbobiorca pobrał próby, które zostały przesłane do Woj. Inspektoratu Kontroli Materiałów Siewnych w Łodzi.

Po dokonaniu oceny laboratoryjnej wyw. Inspektorat wydał dwa świadectwa kwalifikacyjne z dnia 5. VI. 1968 r. kwalifikujące nasioną rzepaku ozimego odmiany „Górzeński” w stopniu oryginalnym w II klasie jakości, podając w atęcie siłę kiełkowania 83,0 proc., energię kiełkowania — 58,0 i 60,0 proc. przy wilgotności 9,9 proc.

Rozprowadzony materiał siewny do rolników wykazał słabe wschody rzepaku ozimego.

W związku z tym w dniu 3—16. 10. 1968 r. Stacja Oceny Nasion. Oddział w Łęczycy, przeprowadziła powtórnie badania pozostałej ilości nasion rzepaku w GS i „żelaznego” zapasu w Zakładzie Topola — Błonie.

Analiza wykazała, że nasiona te posiadały od 52 do 63 proc. sily kiełkowania i od 27,0 do 41,0 proc. energii kiełkowania, czyli zostały zdyskwalifikowane jako materiał siewny. Ponieważ Kierownictwo ZD UNG Topola — Błonie rzepak ten sprzedało jako materiał siewny, narazając rolników-plantatorów na straty, sprawa ta była przedmiotem postępowania spornego

sumieniem zbagatelizować, gdyby pismo nie pochodziło z IUNG, placówki naukowej o pięknych tradycjach, wielkim dorobku i bogatym autorytecie. Jeśli zaprawianie rzepaku olejem nie ma istotnego znaczenia, to warto zapytać, w jakim celu to czyniono. Chcę również wierzyć, że dyrektor zakładu doświadczalnego, palców w tym oleju nie maczał.

Albo dyrekcja IUNG sama stwierdza, że jednak o tym wiedział, tyle, że już po fakcie, lecz przecież jeszcze przed sprzedażą. Jakże mógł wyrazić na to zgodę? Wiadomo, iż celem placówek IUNG jest podnoszenie kultury rolnej na wsi, tymczasem mamy tu do czynienia z czymś wręcz przeciwnym. To prawie tak, jak by strażnik, któremu kazano pilnować — przywłaszczal sobie.

Dyrekcja zakładu doświadczalnego w Bioniu musiała chyba zdawać sobie sprawę ze skutków swego postępowania. Mogła przewidzieć, że rzepak nie wejdzie i rolnicy poniosą straty. I tak się rzeczywiście stało.

* * *

— To właśnie Wiśnicz. Wielki poeta, teraz już nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Przyglądam się i przyglądam, nawet okulary musiałem włożyć. Aaa, toż to Kozodój! I prawie wszystko mi się przypominało. Nazywali go Kozodój. Jest taki ptaszek lelek kozodój. Trochę sowy, trochę jaskółki. Potrafi spać przez cały dzień, a potem poluje na śmy. Sam pochodzę z przedwojennej przeludnionej wsi, to wiem.

I nasz Kozodój zjawiał się tylko wieczorami. Miał rzeczywiście coś z sowy: oczy jakby nieruchome, haczykowały nos. I coś z jaskółki: czarne włosy, nieuczestny, więc te włosy mu wysterczały, nad uszami wyglądały jak skrzydełka.

— Odnalazł się? — pytam. Przypomniało mi się, że przed jakimś dziesięciu laty jak zniknął, to więcej u nas się nie pokazał. Jeszcze mam waszorecznie napisany przez niego rachunek. Przy rachunku jakiś nawet niby wierszyk. „Dla pana Henia”. Oj, dużo wisi w moim pokoju nakluty na gwóźdź takich rachunków!

— Więc co się dzieje z tym Kozodojem, przesyłam, z Wiśniczem?

— To wielki poeta. Szkoda, że przedwcześnie umarł. Jego dorobkiem żyjemy my wszyscy.

Nie bardzo mi się to zgadza, ale wielu klientów „Komety” nie mogłem zrozumieć. Wielki, proszę ja was, poeta, a szukał, żeby mu kto postawił butelkę...

— To czemu wtedy nie zbirano o nim wiadomości? Pana de Powidłaka już wtedy

doszła, bo wentylator często nawalał, ale poza tym to miał nieboszczyk fantazję. Za to niedługo żył. Atak serca. Dobrze, że nie u nas.

Po kilku latach przyszli z gazet, bo była rocznica śmierci Prezesa. Chciano przypomnieć ją społeczeństwu. Powiedziałem więc, że był bardzo kulturalny, znał się na potrawach, lubił dobre trunki. Widziałem po minach dziennikarzy, że nie są ze mnie zadowoleni. I rzeczywiście: przeczytałem w gazecie, że barman opowiadał, iż Prezes nawet w czasie zasłużonego wypoczynku przy posiłkach miał pionową zmarszczkę na czole, nigdy nie zwracał uwagi na to, co jadł (he, he; befsztyczek skrobany, teraz jak go wyszkrobią to nie na talerzu nie widać!), bo wiele zastanawiał się i myślał.

Niech im będzie. Na pewno był zasłużony, tylko w jakiś inny sposób niż dla naszego lokalu. Tak bywa z ludźmi: w jednym miejscu zasłużony, a w innym świnia!

Zresztą, nad czym tu się zastanawiać, gabinety „uspołecznili”, dodatkową „salę konsumpcyjną” z trzech zrobili. Miał szczęście Prezes, że nie żyje. Co mu po takiej „sali konsumpcyjnej”!

Od jakiegoś czasu to mnie nachodzi taka para: on z broda, ona chuda, w okularach i w swetrze, rozpuszczone włosy, on też w swetrze. O pisarzy pytała. Że to niby wielu z nich umarło, a niektórzy zasługują na to, by ich „pokazać” czytającej publiczności.

Pisarze? Ależ, oczywiście!

Różni bywali, ale najlepszy z nich to de Powidłak. Dlaczego „de”, nie wiem, może dlatego, że reprezentacyjny, zawsze własnym autem przyjeżdżał, chociaż wtedy auta były rzadkością. Pił mało, ale nie pił nigdy niczego poniżej trzech gwizdów.

Wszyscy go znali i szanowali. Inni pisarze zawsze mieli do niego jakiś interes. Niektórzy nawet to się go ball, śmiali się z niego, ale nigdy w oczy. Pisał powieści i wierszyki. Wpadały w ucho. Sam pamiętam:

Czy na morzu, czy na lądzie
Słubujemy stać przy rządzie!

„De Powidłak?” Zdziwiła się ta w okularach. „Kto to taki?” „Wiesz, Alicjo, był taki. Usługowiec, szmirus...” „Zęślićko mnie to. Najmocniej państwa przepraszam, mówię, ale gdzie państwo jadają obiady? Wymieniłi jakiś nieznaną lokal, a ja dotąd obserwuję wszystkie lepsze lokale. I tacy tak o de Powidłaku? Ale nie daję tego po sobie poznać, dla podtrzymania rozmowy mówię, że bywali różni. Taka sobie, szczerze mówiąc, holota. Czasem mieli pieniądze, kiedy indziej były kłopoty z rachunkiem. O, właśnie, ucieszyli się. „Proszę mówić, co pan pamięta o Wiśniewiczu?” O Wiśniewiczu? Takiego to ja sobie nie przypominam.

Wyjątkowo namolni ludzie...

Pewnego razu, żeby mi pomóc, przyszli z fotografią. Taką niezbyt wyraźną.

Z tomu opowiadał satyrycznych, który pt. „Kokłkwiarz” ukaże się nakładem Wyd. Łódzkiego.



KRZYSZTOF A. KUCZYŃSKI

ŁUZYCKA TRYLOGIA
JURIIA BREZANA

Doczekaliśmy się naszego przekładu na język polski jednej z najbardziej wartościowych pozycji współczesnej literatury łuzycyckiej. Jej autor, wiceprezes Związku Pisarzy Niemieckich, laureat licznych nagród i wyróżnień, jest czołowym przedstawicielem swojej literatury narodowej, która, po przyznaniu Serbulożycanom pełnej autonomii, stała się integralną częścią literatury Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Trylogia o Felksie Hanuszu jest bezwzględnie najlepszym utworem łuzycyckiego prozaka, którego dotychczasowe utwory, częściowo przetłumaczone na język polski, a więc „Na między roślin zboże” oraz „Urodziny Krestiana Serbina”, cechujące się powierzchownością i nieporadnością w użyciu artystycznych środków wyrazu, niekorzystnie rzutowały na cały dorobek tego uzdolnionego, niewątpliwie, pisarza.

W swojej trylogii zawarł Brezan sporo momentów autobiograficznych, dzięki czemu fikcja literacka czesno pokrywa się z prawdą historyczną. W sumie prezentuje nam Brezan spory wycinek dziejów Serbulożycan, który po długim okresie walk z naporem germanizacyjnym kapitalistycznych Niemiec, doczekali się uznania swojego słowiańskiego pochodzenia i pełni praw na zasadzie równowagi uprawnień obu partnerów.

Trylogia Brezana, licząca w sumie prawie 1000 stron druku, składa się z następujących tomów: „Gimnazjalista”, „Semestr straconego czasu”, „Lata męskie”. Autor ukazuje, na tle przemian zachodzących na Łuzycach, koleje losu Felksa Hanusza, syna łuzycyckiego górnik. Jurij Brezan opowiada o kształtowaniu się osobowości Hanusza, o krystalizowaniu się jego zapatrywań i przekonań, skłócenie kolejne lata życia swojego bohatera, mówi o jego udziale w wojnie, jako że Hanusz został zmuszony do wstąpienia w szeregi Wehrmachtu. Wreszcie doprowadza Hanusza, już jako dojrzałego mężczyznę, do pełnego konfliktów, niepewności okresu powojennego.

Jurij Brezan potrafił ująć tę obszerną, ale ogromnie ciekawą, problematykę w artystycznie rany. Jego trylogia to wierszy obraz Łuzycy, wiersza panorama dziejów bohaterstwa słowiańskiego narodu. Lektura cyklu o Felksie Hanuszu dowodnie ukazuje, że dzieje Serbulożycan godne były literackiego opisu.

*) Jurij Brezan — „Gimnazjalista”, „Semestr straconego czasu”, „Lata męskie”. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 1971 r.

nawet u nas szukali dziennikarce.

— Wiśnicza nie doceniono!
— Aha! To co mu z tego, że teraz zrobił się wielki?
— Panie Heniu...
— Pił pan kiedy u mnie?
— Nie.
— No więc nie panie Heniu, tylko panie Maliniak!
— Panie Maliniak, widywał go pan, zależy nam na każdym szczególe...
— Marszczę czoło, ono i tak całe w zmarszczkach, podsuwam prawą rękę pod brodę, że niby się namyślał. Ta w okularach, Alicja, wyjęła długopis i notes z torebki.
„Kozodój, nie, pan Wiśnicz, nawet przy posiłku miał pionową zmarszczkę na czole, nigdy nie zwracał uwagi na to, co jadł, bo wiele zastanawiał się i myślał...”
Widzę, że Alicja przestaje słuchać, wkłada notes do torebki, głośno ją zatrząskuje.
A, zawracanie głowy! Jeżeli rzeczywiście był wielki, to musiał mieć pionową zmarszczkę na czole. A i nie powinien był szukać jeleni! Oni chyba sfilkowali!
Na wszelki wypadek, trzeba będzie zniszczyć ten rachunek, napisany przez Kozodoja. Bo jak wielki, to nie wolno mu zostawić po sobie takich rachunków: butelka czystej, ślędz i woda sodowa!

— To właśnie Wiśnicz. Wielki poeta, teraz już nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Przyglądam się i przyglądam, nawet okulary musiałem włożyć. Aaa, toż to Kozodój! I prawie wszystko mi się przypominało. Nazywali go Kozodój. Jest taki ptaszek lelek kozodój. Trochę sowy, trochę jaskółki. Potrafi spać przez cały dzień, a potem poluje na śmy. Sam pochodzę z przedwojennej przeludnionej wsi, to wiem.

I nasz Kozodój zjawiał się tylko wieczorami. Miał rzeczywiście coś z sowy: oczy jakby nieruchome, haczykowały nos. I coś z jaskółki: czarne włosy, nieuczestny, więc te włosy mu wysterczały, nad uszami wyglądały jak skrzydełka.

— Odnalazł się? — pytam. Przypomniało mi się, że przed jakimś dziesięciu laty jak zniknął, to więcej u nas się nie pokazał. Jeszcze mam waszorecznie napisany przez niego rachunek. Przy rachunku jakiś nawet niby wierszyk. „Dla pana Henia”. Oj, dużo wisi w moim pokoju nakluty na gwóźdź takich rachunków!

— Więc co się dzieje z tym Kozodojem, przesyłam, z Wiśniczem?

— To wielki poeta. Szkoda, że przedwcześnie umarł. Jego dorobkiem żyjemy my wszyscy.

Nie bardzo mi się to zgadza, ale wielu klientów „Komety” nie mogłem zrozumieć. Wielki, proszę ja was, poeta, a szukał, żeby mu kto postawił butelkę...

— To czemu wtedy nie zbirano o nim wiadomości? Pana de Powidłaka już wtedy

„PO GÓRACH PO CHMURACH“ czyli BETLEEM UWSPÓŁCZESNIONE

Zaluję, że recenzję z tego przedstawienia w Teatrze „7.15”, którego premiera odbyła się 10 grudnia ub. r., zamieszczam dopiero teraz. Zaluję również, iż sam oglądałem je w końcu stycznia, a nie w okresie Bożego Narodzenia, z którym pastoralka Ernesta Brylla jest nierozdzielnie związana. Jej poetyka pachnie świerkiem i jodłą, ma w sobie coś z bieli opłatki, którym zwykliśmy dzielić się w gronie najbliższych przy stole wigilijnym. Z Bożym Narodzeniem spletały się obfite cytaty z kołęd w muzyce skomponowanej przez Zbigniewa Turskiego, między innymi z tej — moim zdaniem — najpiękniejszej, rodem ze Spisza, gdzieś spod Nowego Targu: „O, mój maluski, maluski, maluski, kieby rękawicka...” Aż dreszcz wzruszenia przebiega po grzbiecie, gdy z zadumą i szczerą fascynacją urokami ludowej zaśpiewki nuci tę kołędę Alicja Zomer (Maryja) i Feliks Zukowski (Józef).

Jednak stało się i mogę tylko platonicznie wyrazić żal, że nie obejrzałem „Po górach, po chmurach” w jedynym okresie w roku, kiedy wszyscy tak gremialnie wracamy do ludowej tradycji polskiej i czujemy się z nią tak ściśle zespoleni. Aż dziw, że w równym stopniu dotyczy to wierzących, jak i niewierzących.

Ale i teraz, gdy odległe są już bożonarodzeniowe wzruszenia, sztuka Brylla świeci blaskiem swojskim i ciepłym. Tak ciepłym, że koło serca coś w człowieku taje, świat wydaje się lepszym, weselszym. W samym układzie sztuki Brylla wiele jest podobieństwa do sławnej „Pastorałki” Leona Schillera z muzyką Jana Makielkiewicza, wystawionej po raz pierwszy w 1924 roku w „Ruducie” Juliusza Osterwy. Podobnie

jak tamto widowisko, także i to wywodzi się z dawnej tradycji wiejskich kołędników.

Must więc być Adam z Ewą, i Archanioł Gabriel, i pasterze, i trzej królowie, i Święta Rodzina, i wół, i osioł, i diabeł, i zły Herod przez śmierć-kostuchę ścigany. Tak jak jednak schemat wigilijny z dawną dawną wypełniano aktualnymi świeckimi treściami, tak i w pastorale Brylla mamy do czynienia z owym Betleem uwspółcześnionym, nawiązującym wprost do spraw i doświadczeń nam bliskich.

Sporo jest więc w „Po górach, po chmurach” aluzji i satyrycznych zapędów. Najmocniej dochodzą one do głosu w przydługim może

monologu Diabła (Stanisław Kwaśniak) na początku aktu drugiego. W tekście tym ogólny sługa piekielny zastawia się, czy nie warto mu z diabła przeobrazić się znów w anioła. Nietrudno odkryć w tym gorzką drwinę autora z tych, co to wielokrotnie zmieniają zapatrywania i do każdego zakrętu historycznego chcą się przystosować.

Akcenty satyryczne rozsiadają się zresztą po całym tekście sztuki. A to Bóg, jak to zwykle najwyższa władza, o niczym nie wie; a to baran chce wziąć się do rządzenia; a to inne jeszcze drobne szpilki i złośliwości. W sumie jednak Bryll nie chłoszcząc biczem satyry zbyt srogo. Pod tym względem sztuka przynosi nawet pewne rozczarowanie. Może za mało w niej napomknien aktualnych, a może przedstawienie ich dostatecznie nie wypunktowuje.

Te niedostatki rekompensowane są poetyką urodą wiersza i prostym, czasem grubym żartem, z którego tryska ludowa jurność i istic polskie poczucie humoru. W duchu tych wyznaczników poprowadzone jest całe przedstawienie.

Pełno tu szturchańców, przepychania i zamierzonych sypek. Jak to w kołędniczym widowisku. Celuje w tym zwłaszcza czwórka protagonistów: Jaś (Krzysztof Różycki), Łuka (Ireneusz Ka-

skiewicz), Marek (Dymitr Hołowko) i Mateus (Kazimierz Talarczyk). Jak łatwo poznać, wisusi ci noszą imiona czterech ewangelistów. Nie dziwnego, im przypada w udziale rola jakby narratorów, nadających ton całemu biblijnemu widowisku. Z zadania tego wywiązują się z temperamentem i dowcipnie.

Sekunduje im w tym cały liczny zespół wykonawców, a w szczególności: Marek Kołaczkowski (Adam), Alicja Krawczykówna (Ewa), Karol Obidniak (Pasterz I), Adam Koman, Jan Kruk i Jan Balbuza (trójka wojaków), Henryk Staszewski (Baran) i Bohdan Wróblewski (Osioł).

Przedstawienie przygotowane jest starannie pod względem muzycznym, nad czym w duecie reżyserskim Jan Skotnicki i Piotr Hertel czuwał ten ostatni. W sumie mamy do czynienia ze spektaklem barwnym, żywym, wesółym i ujmującym. Znaczną w tym rolę stylowej i funkcjonalnej oprawy plastycznej Mariana Garlickiego.

*) Ernest Bryll „Po górach, po chmurach” (ballada wigilijna); muzyka — Zbigniew Turski; reżyseria — Piotr Hertel i Jan Skotnicki; scenografia — Marian Garlicki; choreografia — Jan Uryga; asystent reżysera — Nina Król; asystent scenografa — Anna Ekiert; gra teret muzyczny pod kier. Mariana Suchockiego.



(Maryja) Alicja Zomer i (Józef) Feliks Zukowski

Foto: G. Wyszomirska



WIECZÓR POEZJI

Czasem zarzuca mi się, że zbyt rzadko piszę o programach realizowanych przez Łódzki Ośrodek Telewizyjny. Zarzut łatwo by odwrócić. Może to LOT rzadko serwuje nam programy, które wyrastałyby ponad przeciętność telewizyjnej produkcji. W każdym bądź razie programy łódzkie siedzą zawsze z życzliwym oczekiwaniami i nadzieją w sercu: a nuż wystrzeli coś interesującego!

Przyczyną takiego mego stosunku są dwie. Pierwsza — to lokalny patriotyzm, a druga — to sentyment dla LOT, w którym przed dziesięć laty pracowałem i gdzie zachowałem wielu przyjaciół. Przekonałem się o tym raz jeszcze, gdy przed kilkunastu dniami spędziłem miłe chwile w gronie pracowników Ośrodka z okazji XV-lecia jego istnienia.

Ale przyjaźń przyjaźnią, a programy oceniam trzeba obiektywnie. Amicus Plato, sed magis amica veritas... I oto w dalekim Zakopanem, w niedzielny wieczór, przy akompaniamencie wyjącego za oknami polskiego fenu, czyli wiatru halnego, obejrzałem z przyjemnością estradę poetycką z Łodzi. (Z cyklu: „Polska poezja współczesna”; scenariusz — Roman Łoboda i Marek Wawrzkiwicz; reżyseria — Henryk Józwiak; reżyseria telewizyjna — Mieczysław Małysz; wykonawcy — studenci Wydziału Aktorskiego PWSFTiIT, rok IV; Łódzki Ośrodek Telewizyjny — 6. II. 1972 r.).

I znów nawarstwiły się przyczyny, dla których chętnie oglądałem tę estradę. Autorami scenariusza są dwaj pisarze łódzcy. Do pięknego zestawu poetyckiego weszły, obok czolowych nazwisk współczesnej poezji polskiej — także wiersze poetów łódzkich: Chrościelewskiego, Koprowskiego, Łobody, Wawrzkiwicza (przepraszam z góry, jeśli o kims zapomnieli!) i Piechała, którego „Łódźkość” nie skończyła się wraz ze złą zamejdowaniami.

No i wykonawcy budziły szczególną sympatię. Myślę, że nie tylko moja, jako związanego z PWSFTiIT profesjonalnie i znającego od czterech lat każdego z występujących studentów. Uczucia sympatii towarzyszą zawsze młodym artystom, stawiającym pierwsze nieśmiało kroki na polu zawodowym i dzięki temu świeżym, spontanicznym, nie zmianowanym i nie popadającym w sztamę. Te cechy młodzieńcze rekompensują brak doświadczenia i ujawniającą się tu i ówdzie niedojrzałość artystyczną.

Wróćmy do programu! Poezja współczesna nie należy do lektur łatwych. Jest ona emanacją skomplikowanych przeżyć duchowych poetów odzwierciedleniem zakamarków duszy ludzkiej w jej subtelnych drganiach, na wpoli uświadomionych stanach, snach, lękach, marzeniach. Te indywidualne światy bywają także często hermetyczne, jak bardzo bronią do siebie dostępu osobom trzecim!

Nie dziwnego więc, że wielu Czytelników wychowanych na poezji Mickiewicza, Słowackiego (już nie Norwida!), czy Tuwima, odkłada tomiki współczesnych poetów ze zniechęceniem. Odstreca ich od tej poezji właśnie jej niezrozumiałość, trudność powtórzenia jej treści „swoimi słowami”. Powrót do tradycyjnej poezji wydaje się ożywym wytchnieniem.

A przecież nie wolno człowiekowi kulturalnemu tkwić uparcie tylko przy tradycji i nie śledzić twórczości współczesnej. Chyba trudno jest zrozumieć ducha świata, w którym żyjemy, jeśli nie sięgniemy do poezji z tego ducha zrodzonej. Cechuje ją głębsza niż dawniej penetracja istoty ludzkiej we wszystkich jej przejawach, pragnienie dotarcia do najbardziej ukrytych treści naszej egzystencji.

Zestaw poetycki przygotowany przez Wawrzkiwicza i Łobodę w najogólniejszym sensie obraca się wokół jednej osi, a osią tą jest: CZŁOWIEK. Nie człowiek w ogóle, ale uczestnik drugiej połowy XX wieku, dzwigający cały garb doświadczeń, świadomym swych sił i swej słabości.

Każdy z wierszy z osobną może trudno się tłumaczyć, ale w kontekście innych nabiera czytelności, staje się racjonalną, gorzką balladą o współczesnym homo sapiens. Taki zestaw, przekazywany z autentycznym przejęciem przez młodych adeptów zawodu aktorskiego, spełnił chyba swe zadanie przybliżenia poezji do odbiorców.

Program zrealizowany został w lokalu jednej z bibliotek rejonowych z dużą troską o stronę plastyczną. Może chwila, aż za wiele było zmiennych wrażeń wrozkowych, a wyważenie siły głosu wykonawców z efektami dźwiękowymi chwilami zawodziło, przez co tekst nie zawsze docierał przesylnie. Te drobne usterki nie odebrały jednak wartości temu kulturalnemu widowisku, które zasługuje na wysoką ocenę.

W. O.

O FILMACH DOBRZE I ŹLE



Do wszystkich usłowań adaptacyjnych zwłaszcza w tych układach, gdy ich przedmiotem stają się klasycy, podchodzimy najczęściej z góry założoną rezerwą. Doświadczenie każe dziś jednak więcej oczekiwać od tych adaptacji, które są próbami naprawdy współczesnych odczytań i komentarzy dzieł klasycznych i tych, które nie idąc na łatwe kompromisy wykorzystują w pełni tę materię. Jaka im jest dana do dyspozycji. Franco Zeffirelli, uczeń Luchina Viscontiego, sam także reżyser teatralny, dał się poznać w ubiegłym roku doskonałą propozycją „Romea i Julia”. Obecnie oglądamy pierwszą z jego szekspirowskich adaptacji „POSKROMIENIE ZŁOSNICY” i tak, jak w pierwszym przypadku, trudno nie akceptować jego metody filmowej inscenizacji.

Może i tam puryści wybrzydzać będą na pewne odciski od szekspirowskiego tekstu, czy nawet intencji w rysunku postaci, ale licho niech weźmie puryzm tam, gdzie zwycięstwo odnosi istic renesansowy temperament i z tego ducha pożąta atmosfera. W poprzednim filmie Zeffirelli zachwylił nas przepysznym obrazem renesansowej Weronicy. W „Poskromieniu złośnicy” wskrzesza Padwę tej samej epoki, to zresztą oczywiste. I nie o scenografię i kostium tu chodzi, to

rzecz najprostsza. Zeffirelli posiadał dar filmowej kreacji renesansowego świata w jego niepowtarzalnej już nigdy potem radości życia. I znów nie chodzi tu tylko o atmosferę zabawy, uciechy, swobody obyczaju, grę namiętności i grzechów małych czy dużych, zawartych w znakomitej szekspirowskiej anegdotce i jednym języku. Włoski reżyser czuje Szekspira i czuje epokę w sposób doskonały. Wie, że filmuje teatr i wcale się tego nie boi, wyprowadza go tylko z teatralnej sceny, wypełnia obrazami, w których pulsuje to, co może być wyobrażeniem renesansowej rzeczywistości. Tworzy w ten sposób klimat bliski zarówno Szekspirowi i jego komedio-farsie, jak i renesansowej Padwie, tworzy w ten sposób także kino. W pysznej zabawie, którą proponuje za swym Mistrzem współczesnej publiczności współczesny reżyser, niepoślednią rolę spełniają wykonawcy głównych ról — Elisabeth Taylor i Richard Burton. O pięknej Liz różne opinie jako o aktorce w świecie wędrują, jej Kasia w filmie Zeffirelliego jest jednak niewątpliwym sukcesem. Płotka może nam tu sugerować, iż Taylor i Burton grają w tym filmie podwójne role, jeśli tak, to Petruccio — Burton dokonuje „poskromienia” doskonałego, a sam Burton jeszcze raz udowadnia, że jest jednym z

największych aktorów współczesnego teatru i filmu.

„ANTONIO DAS MORTES” Glauberta Rocha jest filmem, w którym artystyczna wizja świata i społeczna jego interpretacja stanowią spójność zupełnie niezwykłą. Światowa kariera tego filmu stanowi dowód, że sztuka doskonała, w jej europejskim wymiarze, ma siebie po trosze dosyć, że szuka potwierdzenia wartości własnych tam, gdzie wszystko im przeczy. Przyjęto film Rocha jako przykład istnienia źródeł nowych, ożywczych dla kostniejącej w swych zasadach dobrego gustu, smaku, elegancji sztuce kina, ale chyba i literatury. Brazylijski reżyser sięga bowiem w swym filmie do literatury takiego gatunku, o jakim kultura europejska już zapomniła — do literatury mówionej, śpiewanej, inscenizowanej na użytek natychmiastowy, często jednorazowy. Dlatego m. in. mówi się o odkryciu w filmie Rocha nieokleślanego, barbarzyńskiego, ale ożywczo żywiu.

Ograniczeń znajomością określonej tradycji kulturowej, zniewoleni określoną świadomością estetyczną, przyjmujemy film

Rocha z pewną pokorą. Nie mogąc przedrzeć się przez wszystkie znaki tego filmu, czytamy je na swój sposób, chwytając to, co jest dziełem ludzkim i dziełem sztuki wspólne. Przy tym wszystkim „Antonio das Mortes” jest filmem o głębokich sensach społecznych, filmem walczącym. Niezwykle „kino okrucieństwa” Glauberta Rocha jest zarówno w swych sensach społecznych jak i artystycznych kinem ekstatycznym, w którym nie ma i nie może być umiaru ani w krzyku ludzkiej rozpacz i bunt, ani w sposobach jego wyrażenia przez sztukę. W tej ekstatyce następuje wyzwolenie artystycznej wyobraźni, która ma swe niezaprzeczalne źródła tak w historii narodu brazylijskiego jak i jego folklorystycznej kulturze. Ale ma również swą określoną stylistyczną koncepcję, w końcu wyraża się w sztuce kina, która zdaje się rządzić określoną świadomością estetyczną. Rocha potrafił ten porządek przyzwyczajenia zburzyć i zmusić do uznania wartości innych.

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

NAJBARDZIEJ ANGIELSKI Z MALARZY ANGIELSKICH

W roku 1732 ukazuje się w Londynie cykl sześciu rycin, obrazkowa opowieść pt. „Kartiera kurtyzany”, żalonna historia życia wiejskiej dziewczyny, która wybrała „najstarszy zawód świata” i skończyła w nędzy, chorobie i poniżeniu. Autorem tej umoralniającej historyjki obrazkowej był William Hogarth, zwany dziś najbardziej angielskim malarzem lub nawet ojcem angielskiego malarstwa. Jego dzieła wystawione obecnie w londyńskiej Tate Gallery, 110 obrazów oraz 80 rycin i rysunków, przyciągają od tygodni tłumy widzów.

William Hogarth urodził się w Londynie jako syn nauczyciela wiejskiego z Kirky Thore w Westmoreland. W Londynie ojciec Williama, prócz pracy pedagogicznej zajmował się układowaniem słownika lacińskiego i był korektorem w drukarni. William, który przejawia zainteresowania do plastyki, rozpoczyna pracę u

złotnika. Po śmierci ojca usamodzielnia się jako grafik. Sporządza ryciny do książek, uprawia grafikę, zwłaszcza satyryczną. Uczy się również malarstwa, maluje olejne płótna, a pewnego dnia porywa, uwodzi, a następnie żeni się z Jane, córką swego nauczyciela, nadwornego artysty, Thornhilla.

W tym czasie maluje obrazy olejne, małe portrety i portrety grupowe, „Kartiera kurtyzany” pierwszy cykl moralizatorski powstaje początkowo jako seria obrazów olejnych (nie zachowały się). W rok później Hogarth transponuje je na cykl grafik. Była to nowość. Istniały wprawdzie w tradycji średniowiecza cykle czy serie obrazów, ale zawsze odnosiły się do tematów albo biblijnych albo historycznych. Hogarth zaś opublikował serię o tematyce na wskroś jemu współczesnej i realistycznej. Cykl ten, a następnie dalsze, przynosią Hogarthowi sukcesy i pieniądze. Sporządza teraz dalsze cykle. Tematy, sceny, postacie, typy złodziei, szulerów, prostytutki, przestępców, a obok

tego solidnych mieszczan, bogatej szlachty, elity finansowej — bierze wprost z życia i obserwacji. Moralizatorskie obrazy często nasycone są jadem ironii i szyderstwa. Hogarth nie waha się przed satyrycznym przedstawieniem przywar i wad książąt, szlachty, bogaczy. Moralizuje w sposób, który dziś wydaje nam się bardzo naiwny. Oto n.p. dwie historyjki wyobrażające czeladnika pracownego i czeladnika leniwego. Pracowity zdobywa rączkę ślicznej córki majstra, wspina się po szczeblach zawodowej i społecznej kariery, by wreszcie zostać burmistrzem podczas gdy leniwy czeladnik popada w złe towarzystwo, hazard, pijalstwo, rozpustę, przestępstwa i ginie na szubienicy.

„...obraz jest dla mnie sceną, a mężczyźni i kobiety to aktorzy, którzy przez czynności i gesty mają ukazywać pantomimę” — mówił Hogarth, traktując siebie jako malarza-dramaturga. Dzięki brytyjskiej obserwacji artysty, dzięki jego znajomości najprzeróżniejszych środowisk, w dziełach Hogartha zawarty jest wspaniały, autentyczny reportaż o osiemnastowiecznym Londynie z życiem zarówno bogaczy jak i biedaków, z wnętrza zarówno pałaców arystokratów jak nędznych klitek biedaków. Widzimy knajpy, izby prostytutki, nory lumpów, a obok tego wnętrza tkackich warsztatów lub mieszkań bogatych czy bogaczących się mieszczan.

Hogarth wyszydza zło, pragnie ludzi umoralnić. Nie przeszedłby sięf „kalkulacji” ale rewolucjonista nie jest. Nie pragnie bynajmniej burzyć tego świata, w którym żyje, który rozumie i w którym się bogaci. Jego talent i pracowitość przynosi mu spory majątek, piękny duży dom, liczną służbę, czterokonną karę.

Gdy chwyci za pędzel by malować w tzw. wielkim stylu sceny historyczne lub biblijne — doznaje klęsk i niepowodzeń. Ale pozostaje znakomitym portrecistą, genialnym repor-

tażystą chwytającym sceny i w tym, Buzzati poruszał zagadnienie postawy człowieka wobec przyrody, życia i śmierci. Jego bohaterowie przeżywają obsesyjne lęki przed śmiercią, a ich działaniem kierują jakieś siły wyższe, tajemne moce. Stąd koszmarny wizje, alegorie, symbole. W twórczości Buzzatiego czasem groteska i satyra. Często Buzzati posługiwał się nastrojami grozy, halucynacji, napięcia i pesymizmu. Do dalszych znanych dzieł Buzzatiego należą m. in. „Panika w La Scall”, „Sześćdziesiąt opowiadań”, „Mały spacer”, „Przypadek kliniczny”.

W STULECIE ŚMIERCI GRILLPARZERA

21 stycznia 1872 roku zmarł w Wiedniu, w domu siostr Fröhlich, największy dramaturg austriacki, Franz Grillparzer.

Urodził się w Wiedniu w roku 1791 jako syn adwokata. W swej twórczości dramaturgicznej łączył wpływy Oświecenia, klasycyzmu i romantyzmu niemieckiego, a elementy swego stylu, żywiołowe i barwne, czerpał z tradycji wiedeńskiego i hiszpańskiego teatru.

Grillparzer był naturą skomplikowaną, o powiklanej psychice i dużej nerwowości, popadał czasem w depresję. Może dlatego właśnie bohaterowie jego sztuk przeżywają tak mocno dramaty uczuciowe. Prawie wszyscy miotają się między koniecznością działania, a niemożnością dokonania jakiegoś czynu, bezsilną rezygnacją wobec wrogich im mocy.

Do najważniejszych sztuk scenicznych Grillparzera należą m. in.: „Sapho”, trylogia „Złote runo”, „Szczęście i kres króla Ottokara”, „Gra uczuć i fałszywych”, „Sen zyciem”, „Biała klamcy”.

Pisał również nowele jak „Klasztor pod Sandomierzem” i „Uboży grajek”. Dużo podróżował, zwiedzając Niemcy, Włochy, Anglię, Turcję i Grecję. Mając lat 41 poznał Katarzynę Fröhlich, którą kochał z wzajemnością, z którą spędził wiele lat, aż po kres swych dni, ale z którą się nie ożenił i która była jego „wieczną narzeczoną”.

ZMARŁ BUZZATI

Ostatnio zmarł włoski powieściopisarz, dramaturg i nowelista Dino Buzzati. Czytelnicy „Przekroju” z pewnością pamiętają jego niezwykle opowiadania. Buzzati urodził się w roku 1906. Prócz utworów literackich zajmowało go także dziennikarstwo, był redaktorem „Corriere della Sera”. Debiutował w roku 1933 książką pt. „Barnabo z gór”.

Najbardziej znaną powieścią, która przyniosła mu uznanie była „Il deserto dei Tartari” (Pustynia Tatarów). Jak i w innych swych utworach tak

akwarelą i malarstwem olejnym, ale potem postanowił wskrzesić lubok. Wykonuje go jednak w formie nie drzeworytów lecz linorytów. Osiągnął wybitne sukcesy artystyczne. Jego dzieła są rozchwytywane. Tematyka jego lubków początkowo ograniczała się do motywów

LUBOK

Przez trzysta lat cieszył się w Rosji powodzeniem, zapomniany już dziś niemal całkowicie, rodzaj sztuki — ludowy obrazek czyli lubok. Był to rodzaj nierozwiniętej jeszcze grafiki, a nazwa pochodzi stąd, że na lipowej desce



Linoryty — lubki Wiktora Penzina



ryto obrazki, odbijane następnie na papierze. Lubok nie mógł być jednak sporządzany w zbyt dużych ilościach, gdyż wryty na deseczce wzór ulegał zniszczeniu.

Obecnie Wiktor Penzin zajmuje się twórczością graficzną kontynuując i odświeżając ten zapomniany rodzaj ludowej sztuki rosyjskiej. Penzin jest absolwentem kierunku artystycznego Instytutu Poligraficznego w Moskwie. Początkowo zajmował się

czysto zdobniczych jak ptaszki, drzewa, kwiaty. Później zapoczątkował wielką serię scen z odczynkami historii od czasów najdawniejszych aż do współczesnych. Penzin uprawia też lubok-satyre, lubok-czastuszkę. Kolorowe linoryty-lubki Wiktora Penzina wystawiane były w wielu miastach ZSRR i za granicą. Między innymi wystawy takie urządzone były w Bułgarii, Czechosłowacji, Polsce i Szwajcarii.

SPROSTOWANIE

W ostatnim „Kto, co, kiedy” w notatce pt. „Powieść hotelarki” jedno ze zdań uległo w druku zniekształceniu. W wyniku tego, „powieść, którą zrobiła światową karierę (...) wyszła za małżonką hotelarki z kantonu Valais (Wallis)”. Zdanie to winno brzmieć: „Miał jednak kto wie, że powieść, którą zrobiła światową karierę (...) wyszła spod pióra szwajcarskiej hotelarki z kantonu Valais (Wallis)”.

Polsce, a jakże, tylko... „Owca” na przykład nie spodobała się w Łodzi paru osobom, więc grano tu bardzo krótko. Gdzie indziej też pewno było podobnie. Więc „Owca” jest legendą za rogatkami Warszawy.

Nie tylko zresztą „Owca”. Cała pierwszorzędowa jedenastka kabaretów prezentowanych w książce Marka Grońskiego stanowi legendę polskiej estrady. Czy do tej legendy życia (nie „Estrada”) dopisze nam nowe wartości? Statystycznie rzecz biorąc — na pewno. Jednocześnie dobrych kabaretów na 22 lata, daje nam jeden kabaret co dwa lata. W praktyce jednak rzecz jest bardziej skomplikowana.

Oficjalni mecenas skłonni są raczej oglądać na estradzie nagą striptiserkę niż słuchać nagiej prawdy. A tu — jak na złość — każdy naprawdę dobry kabaret daży do tej drogi. Spośród tych nagich prawd znajdziemy także w książce „Od Siedmiu Kotów do Owcy” można więc właściwie powiedzieć, że jest to publikacja

JERZY WIDOK

Bez strachu

POECI

Od wczesnego dzieciństwa wierzę, że istnieją Poeci wszelkich żywiołów, wszelkich zjawisk... Poeci wody, ognia, powietrza, ziemi, Poeci drzew, Poeci trawy, a także Poeci radości, Poeci gniewu... Poeci zastępowali mi czarowników, stawali za elfy, za gnomy.

Od wczesnego dzieciństwa ślepo w to wierzę, w miarę jednak mijania lat musiałem tej wiary bronić, przygotowywać argumenty wobec sceptyków i przesmyków. Mówiłem diałeczko określenie — poeta wiatru, poeta trawy, przyjmujemy za naturalne, a określenie: prozaik, czy prozator wiatru, prozaik, czy prozator trawy odstręcza nas, wzbudza śmiech. Widocznie kiedyś w jakiś sposób udowodniono nam kompletnie nieistnienie prozaików, czy też prozatorów wiatru czy trawy. Minęło jeszcze kilka lat i zaprzetałem dyskusji, niech każdy zostanie w tej kwestii przy swoim mniemaniu. Moje osobiste kontakty z Poetami rozluźniły się, rozwały. Jeden tylko Poeta pozostaje mi niezmiernie wierny — Poeta śmierci. Przychodzi często do mojego mieszkania, ukradkiem, po zło-dziejsku — nigdy nie uprzedza, nie zapowiada swoich wizyt. Udziela mi swoich wizji poprzez sen — to przez niego twarzą śmionych kobiet zmieniają się w trupe czaszek, ich ramiona w piszczele. To On, udając Poetę wiatru, idzie, kiedy budzę się w nocy, przez pustą sypialnię. Cóż to za wiatr w czterech ścianach? Poeta śmierci ukazywał mi śmierć w przesłania-dzie, śmierć niezmierną, której mój sen był tylko drobnym fragmentem, a także śmierć ucielesnioną tańczącą. Kiedyś przyszedł i ukazał mi śmierć dobrą, pocziwa, wędrowała wśród ludzi, śluchała ich trosk, potakiwała nagim czerpcom. Zaciągnęła się jako służąca do pewnej rodziny i postawiwszy kosę w rogu służbówki, cierpliwie cierała skarpetki, szorowała do polysku rondle, zamiatła, czyściła kurze, nianczyła dzieci, a wszystko za dobre słowo, za kąk w mieszkaniu, nie chciała jada ani pieniędzy. Nikt jej w tej rodzinie nie nazywał śmiercią, nie nazywano jej także służącą, mówiono o niej tylko: nasza... nasza... i polykano słowo. Cóż z tego, że niekiedy brała kosę i szła gdzieś, jak mówiła: kosid trawę. Zawsze wtedy umierał sąsiad, lub sąsiadka. Rodzina śmierci zdawała się być nieśmiertelna. Kiedyś znowu przyszedł Poeta śmierci i ukazał mi ją jako kościotrupa z kredy z kosą. Owa śmierć zbierała skrzętnie informacje o krzywdach doznawanych przez ludzi, od kogoś, kto był znacznie groźniejszy od niej. Zbierała też skrzętnie dane o miejscach i czasach jego pobytu, a potem, kiedy wiedziała już o nim prawie wszystko, mocniej ścisnęła kosę i ruszyła na tego, który jest groźniejszy od niej. Czy go znajdzie? A jeżeli znajdzie, to czy zdoła pokonać?

BERNARD SZTAJNERT



Hogarth — Autoportret z psem (1745)



NAGA DZIEWCZYNA
CZY NAGA PRAWDA?

SPÓŁKA AUTORSKA — CZY PRACA DOKTORSKA?
— ANTOLOGIA KABARETU — PODRÓŻ PO SCENKACH — 7 KOTÓW I JEDNA OWCA — KSIĄŻKA DO CZYTANIA — NAGA DZIEWCZYNA CZY NAGA PRAWDA? — LEGENDA ESTRADY — PUBLIKACJA „SEXY”

Przed wielu laty świetnie i obiecująco startowała w Łodzi spółka autorska Ryszard Marek, Celowo nie napisałem „satyryczna spółka”, bowiem twórczość tej pary autorów daleko wykraczała poza regiony potocznie rozumianej satyry. Dziś — po latach — można już powiedzieć, że ową parę stanowili Ryszard Wierzbowski i Marek Groński. Wspólnie zadebiutowali w Wydawnictwie Łódzkim wielce interesującym tomem wierszy i przekładów (m. in. jedno z pierwszych tłumaczeń

Okudżawy) — lecz potem drogi ich się rozeszły.

Ryszard Wierzbowski poświęcił się pracy naukowej na UL, napisał ciekawą i chyba unikalną pracę doktorską o historii szopki, Marek Groński natomiast początkowo pracował w „Karuseli”, dziś w „Szpilkach”, zasilił swymi utworami warszawskie kabarety.

Jak rzekłem — drogi ich się rozeszły. Okazuje się — pozmierze. Ryszard Wierzbowski śledzi historyczny rozwój szopki — Marek Groński wydał ostatnio książkę o powojennych kabaretach: „Od

Siedmiu Kotów do Owcy”. Zastrzegam się tam we wstępie — może na złość kolede — że „książka o kabarecie lat 1946-1988 nie jest pracą doktorską”. I chyba dobrze, że nie jest.

Kabaret jest formą ulotną, ważniejsze więc od dywagacji krytyczno-literackich jest utrwalenie choćby części tekstów, atmosfery... Przyjął więc Groński w swej książce koncepcję antologii. „Od Siedmiu Kotów do Owcy” jest podróżą po kabaretach, książka ta umożliwiła nam wyobrażenie sobie, czym był słynny „Kot”, czym „Szpak”, a czym „Owca”. Oczywiście nawet najlepiej skonstruowana antologia tekstów jedenastu kabaretów na przestrzeni dwudziestu lat nie może dać obrazu pełnego. Po prostu dlatego, że jest w stanie zaprezentować tylko słowo, może jeszcze opowiedzieć skecz, blackout — ale nie może pokazać.

W ramach tych ograniczonych możliwości książka Grońskiego jest w pełni udana. Daje nam wyobrażenie o historycznych już scenkach. Tak się składa, że widzia-

łem w końcu lat pięćdziesiątych występ kabaretu „Kot” — bodaj w Teatrze Jaracza. Byłem zatem ciekaw, jak autor opowie ów głównie pantomimiczny spektakl, jak przekona o wyjątkowości „Konia”. Przyszła mi w sukurs własna pamięć. Czytając książkę Grońskiego przypomniałem sobie tamten wieczór w Teatrze Jaracza. Myślę, że na kartkach zanotowano coś z tamtej atmosfery. A to już wiele. Może wszystko, co było możliwe? Ale nawet dla kogoś, kto nigdy nie widział żadnego z prezentowanych w książce kabaretów, publikacja ma po prostu walory informacyjne, dokumentalne.

Po cóż jednak te napuszone słowa — informacja, dokument — to, oczywiście, prawda, ale książka jest po prostu do czytania. Siegną po nią ci, którzy kiedyś tam widzieli prezentowanego przez Grońskiego kabarety — siegną i ci, którzy ich nie mieli okazji zobaczyć, a takich jest więcej. Prawie wszystkie historyczne już ansamble rozdziły się w Warszawie, oczywiście wojażowały po

Następna ofiara

OSOBY: John Willard — kierownik ekspedycji archeologicznej, Michael Willard — jego syn, Bleibner — finansista z Nowego Jorku, Rupert Bleibner — jego bratanek, Dr Tosswill — pełnomocnik British Museum, Schneider — pracownik Metropolitan Museum (Nowy Jork), Harper — sekretarz amerykański Bleibnera, Lekarz — Marshall Ames, Hassan — arabski służący Willarda.

NIEZWYKLE emocjonujący przypadek, jaki przeżyłem wraz z detektywem Poirot, to była seria tajemniczych zgonów, które zdarzyły się w okresie odkrycia i następnie badania grobu faraona Men-her-Ra.

W niedługim czasie po odnalezieniu słynnego grobu Tutenchamona inni archeolodzy, a mianowicie sir John Willard i finansista Bleibner z Nowego Jorku natrafili niespodziewanie na szereg komór grzebalnych.

Okazało się, że jest to grobowiec króla Men-her-Ra, faraona z VIII dynastii, za panowania, której stare królestwo zaczęło się chylić ku upadkowi.

W czasie badań archeologicznych zmarł niespodziewanie na atak serca sir John Willard. Gazety, chcąc sensacji, wydobły wszystkie stare historie i przesady na temat przekleństw związanych ze skarbami starożytnych Egipcjan.

Dwa tygodnie później pan Bleibner zmarł na ostrą posocznicę, kilka dni po nim jego bratanek Rupert zastrzelił się w Nowym Jorku. „Zemsta faraona Men-her-Ra” stała się powszechnym tematem.

Po tych wydarzeniach Poirot otrzymał bilecik od lady Willard, wdowy po zmarłym archeologu. Prosiła, żeby przybył do niej, mieszkała na Kensington Square. Pojechałszy razem.

Lady Willard była kobietą wysokiego wzrostu, nosiła żalobę.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytał Poirot.

— Jest pan detektywem, ale nie dlatego chciałam się pana poradzić. Wiem, że ma pan oryginalne poglądy i rozwiniętą wyobraźnię. Proszę mi powiedzieć, co pan myśli na temat sil nadprzyrodzonych?

Poirot zaważał się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Czy mówi to pani w związku ze śmiercią męża?

— Właśnie — potwierdziła kobieta.

— Zyczy sobie pani, żebym się zajął zbadaniem przyczyn jego zgonu?

— Kto jeszcze należy do ekspedycji?

— Doktor Tosswill, pełnomocnik Muzeum Brytyjskiego, pan Schneider z Metropolitan Museum w Nowym Jorku, lekarz Marshall Ames, młody sekretarz amerykański i Hassan, tubylec, służący mego męża.

— Czy pani przypomina sobie nazwisko sekretarza?

— Harper, tak mi się wydaje. Pracował od niedawna dla pana Bleibnera.

— Dziękuję pani za informacje. Zrobię wszystko, co jest możliwe, żeby obronić pani syna.

★ ★ ★

Gdy wracaliśmy do domu myślałem, że nigdy bym nie podejrzewał Poirot o tak zakorzenioną wiarę w przesady. Zadałem mu pytanie na ten temat.

— Ależ tak, Hastings. I dobrze byłoby, żebyś i ty docenił ważność przesądów.

— Co teraz musimy zrobić? — zapytałem.

— Najpierw trzeba zadepeszać do Nowego Jorku, żeby uzyskać szczegółowy raport na temat śmierci młodego Bleibnera...

★ ★ ★

Odpowiedź, która nadeszła, była dokładna i wyczerpująca. Rupert Bleibner żeglował po mętnych wodach przez kilka lat, pracował dorywczo tu i tam, aż wreszcie dwa lata temu wrócił do Nowego Jorku. Upadał coraz niżej. Pewnego dnia pożyczyl pieniądze, aby udać się do Egiptu. — Znam tam człowieka — mówił — od którego będę mógł wyciągnąć niezłą sumę.

Lecz w Egipcie sprawy nie poszły po jego myśli. Wrócił do Nowego Jorku przeklinając swego „łobuza stryja”, który więcej troszczył się o cztery kości faraona niż o swego żyjącego bratanka.

Śmierć Johna Willarda miała miejsce podczas pobytu młodego Bleibnera w Egipcie. W Nowym Jorku Rupert powrócił do swego rozwiązłego trybu życia, aż pewnego dnia, niespodziewanie, popełnił samobójstwo. Pozostawił list o treści dość dziwnej. Pisał zapewne w momencie silnego przygnębienia, gdyż określił się w nim jako wyrutek społeczeństwa, osobnik „tredowaty”. Zakończył list stwierdzeniem, że w tych warunkach najlepiej będzie, jeżeli usunie się ze świata.

Na podstawie tych wiadomości wytworzyłem sobie pewną hipotezę. Nie wierzyłem nigdy w możliwość zemsty egipskiego faraona, zmarłego przed wiekami i myślałem raczej o zbrodni bardziej nowoczesnej. Młody Rupert postanowił zapewne pozbyć się wujka posługując się trucizną. Przez jakąś fatalną pomyłkę trucizna zabiła Johna Willforda. Młodzieniec, przerażony tym co uczynił, wrócił do Nowego Jorku, a tam dosięgła go wieść o

śmierci stryja. Stwierdził, że niepotrzebnie pozabawił życia Johna Willarda doprowadzając Ruperta do samobójstwa.

Gdy wyłożyłem moją teorię przyjacielowi, wydało mi się, że jest nią zainteresowany.

— W ten sposób — rzekł — całkowicie nie uznajesz fatalnego wpływu grobowca.

— Wrzuciłem ramionami. — Czy wierzysz jeszcze w te przesady?

— Wierzę do tego stopnia, mon chéri, że zaraz jutro pojedziemy do Egiptu.

W kilka dni później nasze stopy deptały żółty piasek pustyni. Słońce piekło niemiłosiernie. Poirot dyszał ze zmęczenia. Z Kairu pojechaliśmy autem do eleganckiego Mena House Hotel położonego w cieniu piramid.

Egipt oczarował mnie, lecz innego zdania był mój towarzysz. Ubrany dokładnie, jak w Londynie, nosił w kieszeni szczytówkę i walczył nią z pyłem piaskowym.

— Zobacz, jak wyglądają moje buty, ubranie, wszystko zrobiło się szare — narzekał.

— Patrz lepiej na sflaksa — upominałem go. — Nawet ja odczuwam jego tajemniczość...

★ ★ ★

Dróg do wykopalisk odbyliśmy na grzbiecie wielbłąda. Przywitał nas mężczyzna bardzo opalony, z siwą brodą.

— Przepraszam, że nikt z nas nie wyjechał po panów do Kairu, ale zaszło coś poważnego i...

— Nie chce pan chyba powiedzieć, że znów ktoś umarł? — przerwał mu Poirot.

— Niestety, tak się właśnie

stało — stwierdził poważnie mężczyzna.

— Czy sir Michael Willard? — zapytałem podniecony.

— Nie, panie kapitanie, mój kolega amerykański, pan Schneider.

— Przyczyna śmierci? — chciał się dowiedzieć Poirot.

— Teżec.

— Mój Boże! — mruzczał Poirot. — Nie mogę zrozumieć... Czy pan jest pewny, że to był naprawdę teżec?

— Tak wygląda. W każdym razie doktor Ames będzie mógł więcej powiedzieć na ten temat. Ja się nazywam Tosswill.

A więc to był ten Anglik, o którym nam mówiła lady Willard. Wydał mi się bardzo sympatyczny.

— Może panowie pozwolą, pójdziemy do Michaela Willarda — zaproponował Tosswill.

Szliśmy przez obóz za naszym przewodnikiem w kierunku największego namiotu. Tosswill uniósł zasłonę, zapraszając nas do wnętrza. Siedzieli tam trzej mężczyźni.

— Przybył pan Poirot i kapitan Hastings — oznajmił Tosswill.

Najmłodszy z mężczyzn podbiegł i uściśnął nam rękę. Był mniej opalony od swych towarzyszy. Miał 22 lata, lecz cienie pod oczami postarzały go. Przedstawił nam dwie pozostałe osoby, lekarza Ames, człowieka lat około trzydziestu i Harpera, młodego i sympatycznego sekretarza w okularach.

Po kilku minutach rozmowy, Harper oddał się wraz z Tosswillem. Pozostaliśmy w namiocie w Michaelem i Amesem.

— Jesteśmy wszyscy głęboko wstrząśnięci tą dziwną serią

niezszczęść — rzekł sir Michael z widocznym zdenerwowaniem, — ale to na pewno jest zwykły zbieg okoliczności.

Twarz detektywa skrzywił grymas. — A więc nie pozostał nam nic innego, jak trymać się faktów. Kiedy zmarł pan Schneider?

— Trzy dni temu.

— Czy jesteście pewni, że chodzi o teżec? A może to jest na przykład zatrucie strychniną?

— Nie, panie Poirot, na pewno teżec.

— Czy otrzymał zastrzyk przeciwtężcowy?

— Naturalnie — zapewnił lekarz trochę już poirytowany — zrobiono wszystko, co było możliwe, żeby go ocalić.

— Czy dysponujecie, tu w obozie, odpowiednią surowicą?

— Nie, sprowadziliśmy ją z Kairu.

— Lecz pan Bleibner nie umarł z powodu teżca, czy tak?

— Istotnie. Zaczęło się od tego, że miał ranę na wielkim palcu u nogi, potem nastąpiła infekcja, która przerodziła się w posocznicę.

— Z tego wynika, że mieliście cztery wypadki zgonów, każdy wywołany inną przyczyną. Czy pan jest pewny, doktorze, że te wszystkie przypadki nie miały nic wspólnego z sobą?

— Obawiam się, że nie rozumiem pana.

— Powiem jaśniej. Czy te cztery zmarłe osoby nie popeliły czegoś, co mogłoby wydać się brakiem szacunku wobec ducha faraona Men-her-Ra? — zapytał Poirot.

Dalszy ciąg nastąpi



Fot. T. Zydler



Lewym okiem

DARMO Z ODNIESIENIEM DO DOMU

Rozdzieranie szat jest czynnością efektywną, ale mało skuteczną a często także ciut pruderyjną. Czy nie pokroczyć z niedowierzaniem głową, czytając na przykład takie zdanie w jednym z najpoważniejszych naszych tygodników: „Boję się, że nasz uspołeczniony handel jest w zbyt wielkim stopniu nastawiony na osiągnięcie zysku, zamiast troszczyć się maksymalnie o klienta”?

Cóż za brzydka z tego handlu! Maksymalną troską o klienta byłoby przecież zaniesienie mu wszystkiego do domu za darmo, z uprzejmą prośbą, żeby zechciał przymierzyć, spróbować — przepraszam, zdegustować — i przyjąć w użytkowanie. A handel co? Za byle co każe sobie płacić, a potem siedzi po nocach i licza ile zarobił. Cóż za brzydka, fe!

Zdumiewać się trzeba doprawdy, że najtroskliwiej obskakują cię, szary człowieku, najgłębiej martwią się o twoje wygody i grymasy handlowcy w tych krajach, w których zysk jest jedynym motorem wszel-

kiego działania. Jakże, to troska o klienta może się opłacić? Jak to możliwe? JAK TO ZROBIĆ?

O, właśnie: takiego chciałbym dożyć artykułu w poważnym tygodniku, w którym by powiedziano jasno i wyraźnie: jakie wymyślić „stymulatory”, jakie urządzenia, instytucje, dyrektywne wskaźniki, bodźce i co tam jeszcze, żeby największe zyski odnosił ten handlowiec, który najbardziej troszczy się o klienta? Żeby to nie były pojęcia przeciwstawne: zysk i troska o interes nabywcy. Z chwilą, gdy się je przeciwstawi, zaczyna się wierzyć w duchy, w uduchowiony handel, w Świętą Kongregację MHD, w Apostolstwo PSS „Społem”.

Rząd Haiti eksportuje krew swych obywateli. To jest również handel, mianowicie handel zagraniczny, któremu wolno szczególnie dużo za udzielonym z góry odpustem w dewizach. O eksporcie krwi w Haiti nasza prasa doniosła ze słusznym oburzeniem. W kategoriach moralnych taki eksport nam się nie może podobać. A przecież — czy eksport krwi w probówkach nie jest mniej niemoralny niż uprawiany przez inne kraje eksport takiej samej krwi razem z sercem, z całym systemem krążenia, z całym człowiekiem — gdy go się kontraktuje do zaciężnych wojsk, do interwencyjnych korpusów, jako złowieszczego „doradcy”, specja od zabijania, jachowca od nagłej śmierci?

Istnieją dokumenty, z których wynika, że nasz ostatni król, Stanisław August, korespondował ze swym posłem w Turcji, Boscampem, w sprawie masowej, zorganizowanej sprzedaży polskich dziewcząt na Wschód. Król siedział w długach, a dziewczęta polskie zawsze były ładne. Nie wiemy, czy i w jakim rozmiarze, transakcje doszły do skutku. To była również sprzedaż krwi — znacznie haniebniejsza od tamtej, operującej zamrożonymi probówkami. Przepraszam za

drastyczny przykład, ale wiem i chcę was powiadomić, że pewna zachodnia firma skupuje po całej Europie, także w krajach naszego obozu (w Polsce nie), łóżyska rodzących kobiet, stanowiące surowiec do cennych medykamentów. Czy to źle, czy dobrze? Czy rozdrzeć szaty na wszelki wypadek, czy uznać, że skoro nie wszyscy potrafimy ekstrahować owe medykamenty, to niech to robi ten, co potrafi, ku pożytkowi wielu milionów ludzi, a nie bez zysku dla sprzedawcy... Pfu, znowu ten zysk!

Nie bardzo też wiem, czym się różni handel, wymyślony przez Boscampa w interesie lekkomyślnego monarchy, od kontraktowania — na przykład — stripiserek i podobnych „artystek” przez międzynarodowe, licencjonowane agencje. Monarchów już nie ma, ale te rządy co są, wiedzą przecież o transakcjach owych agencji i mają w nich poważny finansowy udział. I mają poważny udział w obrotach pewnych nie prywatnych domów, prosperujących świetnie w wielu jeszcze krajach świata. Cóż — pecunia, mocium panie...

Przykładów krańcowych dość. Żyjemy w tej części świata, gdzie nie wszystko jest do sprzedania, a sam proces kupna i sprzedaży podlega różnym reglamentacjom gwoźli niedopuszczenia do głosu atawistycznego prawa dżungli. Mamy szczęście. Ale przecież żyjemy na świecie, nie w siódmym niebie. Na świecie, gdzie każda czynność musi być warta jej podjęcia, bo inaczej nikt jej nie podejmie, będzie najwyżej mydlił oczy, łąał, zgrywał się, kłamał. Troska o klienta też nie może być ofiarą całopalenia ze strony handlu. Musi być zbieżna — wybaczenie brzydkie słowo — z interesem handlu. Inaczej tej troski nie będzie i kropka.

CWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (redaktor naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Roman Łoboda (kier. działu literackiego), Andrzej Mako-wiecki (dział reportażu), Celina Paluch (redaktor techniczny), Włodzisław Stokowski (zastępca redaktora naczelnego), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Teresa Wojciechowska (sekretarz redakcji). Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa” w Łodzi. Adres redakcji, ul. Piotrkowska 86, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40, 61 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6,50 zł, kwart. 19,50 zł. Redakcja nie zamawia rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy”. Druk: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa”, Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 287. D-7.